

# KAMIEŃ

LUBLIN

15.VIII.1962

Nr 15 (253)

ROK XXIX

CENA 2 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN - BIAŁYSTOK - KIELCE - RZESZÓW

## Nie wolno zapominać

EDWARD NADULSKI

W RAMACH obchodów poświęconych XX Roczniczy Powstania PPR została otwarta w Lublinie 22 lipca ogólnopolska wystawa pod tytułem „Martyrologia i walka Narodu Polskiego w latach 1939-1945 w plastyce”, zorganizowana przez Wydział Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, Biuro Wystaw Artystycznych, Związek Polskich Artystów Plastyków — z inicjatywy całego środowiska plastycznego Lublina.

Jest ona nie tylko wystawą historyczną, ale równocześnie ogólnopolskim przeglądem dorobku artystycznego o wymienionym w tytule temacie. Biorą w niej udział indywidualnie arty-

ści z wielu okręgów Polski. Szczególnie dużo prac na nasz apel przysłali plastycy z Łodzi, Warszawy i Lublina. Wiele eksponatów udostępniły nam muzea, jak Muzeum Wojska Polskiego, Muzeum Historii Polskiego Ruchu Rewolucyjnego czy też Muzeum na Majdanku.

Są to prace powstałe w różnych okresach czasu, dające pewien przekrój kierunków i sposobów myślenia artystycznego wobec pamiętnych lat, wobec spraw tak dobrze wszystkim nam znanych.

Wystawa ma głęboką wymowę, przede wszystkim w swej postaci dokumentalno-historycznej. Ukazują się nam z przejmującą wyrazistością fakty i ludzie okresu minionego. Utrwaleni tutaj na płótnie, z siłą pobudzają naszą pamięć. Staje przed widzem obraz heroiczno-martyrologiczny przeżyć obozowych, walki i poświęcenia, grozy i bohaterstwa. Jest tu stały lęk o życie, zwątpienie i nadzieja, które pozwoliły przetrwać, stały się źródłem siły do walki.

Im więcej lat upływa od tamtych dni, tym większą wartość mają nawet drobne szczegóły, które w swym autentyzmie pozwalają odtworzyć

(Dokończenie na str. 2)

## NIEPOKOJĄCE EGZAMINY

MARIA GRZĘDZIŁSKA

O D kiedy trwają egzaminy wstępne na wyższe uczelnie, egzaminatorzy i członkowie komisji egzaminacyjnych żywią złudzenia, że kiedy wreszcie przyjdzie młodzież taka, jaka odpowiada wymaganiom wyższych studiów. Po to są egzaminy „kursowe”, ażeby wyeliminować kandydatów niedostatecznych i dostatecznych, a zatrzymać tylko najlepszych, co najmniej dobrych. Okazuje się, że zwykle, że tylu dobrych nie ma i trzeba przyjmować słabszych. Wtedy czterostopniowa skala ocen uzupełnia się plusami i minusami, lecz w istocie przyjmują się na studia młodzież przygotowana dostatecznie, tj. ledwie, ledwie... Kiedyś tych egzaminów nie było, brakło więc alarmujących nas zastawek, lecz próbnie przeprowadzone na Wydziale Prawa w Lwowie kolegium dało rewelacyjne wyniki: Kościuszko — jakiś poeta, Karol IV to Karol Wielki itp. A więc zawsze mnóstwo głupków przemycało się przez maturę, rozpoczynano bez przeszkody studia i nie doprowadzało ich do dyplomu. Sami pamiętamy, ilu naszych kolegów zawieszono się po drodze do magistristerium filozofii, ilu zdawało już w Polsce Ludowej egzaminy tzw. uproszczone, ilu usiłowało kończyć rozpoczęte studia zaocznie. I nie zawsze byli to ludzie leniwi, mało zdolni, czasem — niezaradni. Znalam nauczycielkę chemii, która 15 lat uczyła bez egzaminu nauczycielskiego starego typu i na kilka lat przed wojną musiała odejść ze służby nauczycielskiej. Inna nauczycielka studiowała przed pierwszą wojną, była więc pionierką; ale zagrzebana w pracy zawodowej jakoś parę lat po wyzwoleniu uporala się

z egzaminem uproszczonym. Była to sumienna, wykształcona polonistka, doskonały pedagog, trochę dzika, trochę dla młodzieży zabawna, bardzo zacna zresztą. Piszę o tym, ażeby wyjaśnić na wstępie, że nie chcę piorunować na młodzież, na nauczycielstwo, na program szkolny, lecz skoro stwierdzamy braki w przygotowaniu do studiów wyższych, skoro te braki są przylapanie na gorącym uczynku podczas egzaminu wstępnego, to warto nad nimi podyskutować. Pisać muszę „pro domo sua”, jestem historykiem literatury, więc w charakterze członka komisji uczestniczyłam w egzaminach na filologię polską i na pedagogikę. Otrzymałam najdokładniejsze relacje od polonistki egzaminującej historyków, przejrzałam wszystkie prace pisemne z literatury polskiej. Nasłuchałam się i naczytałam.

Tematy prac pisemnych były typowymi wypracowaniami okolicznościowymi! polonisci pisali o Orzeszkowej, pedagogicy o Prusie i o Broniewskim. Mniej jubileuszowy czy nagrobkowy charakter miały dwa inne tematy dla polonistów, te jednak się zazębiały: Oświecenie i bajki Krasickiego. Czasem nie było wiadomo, na który temat młodzież pisze, gdyż metoda uniwersalnych wstępów kwitnie nadal w całej pełni swych uroków. Innego rodzaju zastrzeżenia budził temat trzeci dla pedagogów, publicystyczny. Czyż absolwenci liceów mogą śledzić dokładnie dyskusje na temat młodzieży dzisiejszej? Temat sformułowano ramowo, żądając wskazania ulubionej czy najpiękniejszej powieści Prusa czy Orzeszkowej. Ale to ramowość pozcr-

(Dokończenie na str. 7)

## Po zgonie Leona Kruczkowskiego



Życie, twórczość literacka i niestrudzona działalność społeczna Leona Kruczkowskiego zamknęły się datą 1 sierpnia 1962 r. W Alei Zasłużonych na Powązkach przybył jeszcze jeden grób Prawdziwego Człowieka. Historia narodu polskiego i naszej literatury oceni dokładnie niezniszczalne dzieło zmarłego Pisarza i Męża Stanu, ale już dziś krytycy prasowi, koledzy-literaci, wszyscy ci, co znali osobiście Leona Kruczkowskiego, podkreślają z uderzającą jednogłośnieścią nigdy nie zmałą harmonię Jego przekonań, twórczości i postępowania. Łączył w sobie wielkie serce humanisty, niezachwianie logiczny intelekt z odwagą realizatora dobrze przemyślanych postanowień. Właśnie mija trzydzieści lat od chwili ukazania się „Kordiana i chama”, powieści, która zdobyła od razu szeroki rozgłos przynosząc świeże, wręcz rewolucyjne naswieślenie narodowych dzieł. Młody, utalentowany autor ukazał w niej otwarcie swe oblicze bezkompromisowego demokracji. Na tej samej linii ideologicznej znalazły się i następne przedwojenne powieści Kruczkowskiego: „Pawie pióra”, odsłaniające klasowe sprzeczności wsi, i „Sidla” — obraz załamania ideowego inteligencji wobec ofensywy faszystów. Nieugięty aktywista socjalistyczny lat trzydziestych, członek nielegalnej organizacji PPR w oflagach — pozostaje Leon Kruczkowski po wojnie zawsze konsekwentnie wierny czystym ideałom marksistowskim i w tym duchu działa jako Wiceminister Kultury i Sztuki, Poseł na Sejm, Członek Rady Państwa, Członek Komitetu Centralnego PZPR, a także przez szereg lat — Prezes Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich. Idea marksistowska przenika też Jego twory dramatyczne z „Niemcami” na czele, znakomitą sztuką, sławną na całym świecie. Już pierwsza wersja tytułu „Niemcy są ludźmi” charakteryzowała założenie dramatu, polegające, jak zaznaczył autor, na tym, że nasze spojrzenie na Niemców z okresu hitlerowskiego powinno być nie „biologiczne”, lecz polityczne i historyczne, biorące pod uwagę urobienie społeczeństwa niemieckiego przez określone siły społeczne w sposób, który doprowadził do tego, co wdziliśmy podczas wojny. W dziesięć lat później, z okazji wystawienia „Pierwszego dnia wolności” Kruczkowski powie: „Pełne otwarcie pola dla humanistycznych uczuć między ludźmi będzie możliwe dopiero po usunięciu konfliktów społecznych i konfliktów między narodami”. Nad dziełem uniesienia tych konfliktów pracował nieustannie Leon Kruczkowski, żarliwy obrońca Pokoju.

Cześć Jego Pamięci!

(m. b.-r.)

# W BIESZCZADACH STANĄŁ POMNIK GENERALA WALTERA

HENRYK PASŁAWSKI

NADCHODZI pamiętny dzień 15 lipca 1962 roku. Już od samego rana jadą ludzie z Przemyśla, Tarnobrzegu i Mielca, z Gorlic, Jasła i Krosna, z Rzeszowa i Brzozowa. Samochody, samochody, samochody. W Sanoku już ciasno. Tworzy się zwarną kolumna, w której trzeba jechać aż do Jabłonki. Trasa z wielu względów ciekawa. To przecież ostatni szlak bojowy generała Waltera. Wyłaniają się zza zakrętu nazwy znane z lekcji historii, z powieści, opowiadań. Wysoko w górze położone Lesko. Potem Hoczew, Baligród, tak sugestywnie opisany przez Jana Gerharda, jednak „Diabligród” zmienił się. Nawet tubylecy nie mogą go poznać. Budynek odnowiony, czołg lśni jasną zielonią. Na rynku urządzono park. Ba! Nawet historyczny już budynek kina doczekał się nowej elewacji.

Mijamy Baligród. Droga wije się coraz fantastyczniej. Wreszcie Jablonki. Oglądamy to historyczne miejsce. Z prawej strony nad szosą wysoki pagórek, z lewej tylko porośnięty krzewami. To z tego wzgórza padły pierwsze strzały. Po lewej stronie szosy i długa dolina. Pośród niej pomnik. Prawie w tym miejscu gdzie śmiertelna kula dosięgła generała. Dolinę i okolice wzgórz wypełniają ludzie. Jest ich chyba ponad 15 tysięcy. Wszyscy czekają na przybycie dostojnego gościa, Przewodniczącego Rady Państwa, tow. Aleksandra Zawadzkiego, i osób mu towarzyszących. Punktualnie o godzinie 12 burza oklasków anonuje przybycie drohych gości. Orkiestra wojskowa gra hymn naro-



FOTO M. KOPEC

dowy. Raport, przegląd kompanii honorowej, wejście na trybunę. Zajmują na niej miejsca Przewodniczący Rady Państwa, Przewodniczący Ogólnopolskiego Komitetu Obronców Pokoju tow. Aleksander Zawadzki, Wicepremier Eugeniusz Szyr, Z-ca Przewodniczącego Rady Państwa Bolesław Podemworny, Z-ca Przewodniczącego CK SD Jan Karol Wende, Wiceminister Obrony Narodowej General Dywizji Wojciech Jeruzelski, Wiceminister Kultury i Sztuki Kazimierz Rusinek, sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Rzeszowie, towarzysze broni generała Waltera, Dąbrowszczacy, przedstawiciele władz wojewódzkich i powiatowych.

Przemówienie powitalne wygłasza sekretarz KW PZPR w Rzeszowie tow. Władysław Krucewicz. Następnie głosi zabiera tow. Aleksander Zawadzki: „Przed wszystkim pragnę w imieniu KC PZPR i naczelnymi instancjami państwowymi przekazać Wam tak licznie tutaj zebrany nas serdeczniejsze pozdrowienia. Zebraliśmy się w miejscu bohaterskiej śmierci wielkiego patrioty, wybitnego syna polskiej klasy robotniczej — generała Karola Świerczewskiego. Pragniemy złożyć hołd Jego pamięci, uczcić ofiarę Jego życia, poniesioną w służbie żołnierskiej w walce z ciemnymi siłami faszyzmu — w imię wielkiej sprawy socjalistycznej przyszłości naszej Ojczyzny... Czynom

najlepszych ludzi swego narodu... święcąc swe dzieła pisarzy, opiekując... je poci, wdzięczny rodacy ucieszeni... ich myśli i charakteru, serca i... zumu”.

Wiele serdecznych słów poświęconych... towarzyskiemu. „Od chwili narodzenia... Polski Ludowej Rzeszowszczyzna... kazuje wielki dynamizm rozwoju... Dziś raśnie tu szybko Tarnobrzeg... Okręg Siarkowy, Zapora Wodna... rządy wień wiertniczych znaczą... złóż gazowych i nowych pól ropo... nych, 240 tysięcy ludzi pracuje... Waszym województwie poza rolą... twem. Wraz z tym rozwija się oświata... i kultura, rozwija się nowa wieś... szowska, Ziemia Rzeszowska stan... dziś ważną część całości organiz... państwowego. Rzeszowszczyzna... dziś świadectwem tej prawdy, że... na zawsze podział na Polskę A... Polskę B”.

Przewodniczący Rady Państwa dokonuje aktu odsłonięcia pomnika. Spada... niebieskie płótno. Dostojni goście... zgromadzona ludność oglądają pomnik... który projektował artysta-rzeźbiar... prof. Franciszek Strynkiewicz. Wy... obelisk wieńczy stylizowany orzeł... stowski. Na obelisku umieszczono... popiersie generała. Obok — wyryty... marmurze fragment poematu Bronie... skiego:

Nie o każdym śpiewają pieśni... Lecz to imię opiewać będą,  
Ono potrafi się wznieść  
Ponad historię legendą.

Żołnierze zaciągają wartę honorową. Zapalają się znicze. W powietrzu... trzykrotny salut armatni. Przy dźwię... kach wrębil rozpoczyna się składanie... wieńców. Na szarfach napisy: Od Ko... mitetu Centralnego PZPR, od Rady... Państwa, od Rządu PRL, od NK ZSL... od CK SD, od KW PZPR.

Składają wieńce delegacje komite... tów partyjnych, komitetów Frontu Jed... ności Narodu, zakładów pracy, insty... tucji i organizacji społeczno-politycz... nych.

Uroczystość dobiega końca. Goście... opuszczają Jablonki. Żegnają ich bu... lwy, spontaniczne oklaski i las r... wyciągniętych w serdecznym podzi... wieniu.

## Nie wolno zapominać

(Dokończenie ze str. 1.)

atmosferę lat wojennych, coraz bardziej zapadających w niepamięć. Otwarcie wystawy w osiemnastą rocznicę Wyzwolenia Polski spod okupanta hitlerowskiego ma ogromną wagę. Nie możemy skazać na zapomnienie wypadków i doświadczenia tamtego okresu.

Dzisiaj w obliczu wzmożonych zbrojeń, odbudowy militarryzmu niemieckiego — wystawa winna odegrać dla całego społeczeństwa polskiego, a przede wszystkim dla młodzieży, doniosłą rolę poznawczą i wychowawczą, powinna przyczynić się do upowszechnienia w formie artystycznej bogactw tradycji wyzwolenych Narodu Polskiego.

Inna wymowa tej wystawy — to uderzająca wielorakość stylów artystycznych zaprezentowanych przez twórców. Ale o wiele ważniejsze wydaje się wspólne dla nich wszystkich zaangażowanie, pasja oddziaływania swoją sztuką na historię. Wystawa staje się przykładem afirmującym stwierdzenie, że sztuka nigdy nie była i nie jest społecznie obojętą.

Organizując tę wystawę na Lubelszczyźnie — w ośrodku największego terroru okupanta, u stóp Majdanka, najstraszliwszego pomnika, jaki zstawił po sobie hitleryzm na naszej ziemi, a równocześnie w kolebce ruchu oporu, gdzie powstała pierwsza komórka władzy ludowej, pragnęliśmy, by stała się ona hołdem złożonym pamięci tamtych bohaterskich dni\*).

Edward Nadulski

\* Fragment przemówienia kierownika Wydziału Kultury PWRN w Lublinie na otwarcie wystawy.

## Czterdziestolecie „Teatru Ludowego”

ZDZISŁAW KWIECIŃSKI

Gdy 24 lat temu, w r. 1931, w sali teatralnej Domu Żołnierza w Lublinie, rozentuzjazmowani widzowie oklaskiwali — z pol i chat wiejskich przez Waleriana Batkę zebrane tańce, pieśni i obrzędy ludowe, w czołost scenizacji przez Bronisława Nycza zestawione pt. „Wesele Lubelskie” i przez niego reżyserowane, mieszczańskie „Teatr Ludowy” donosił o tym najcenniejszej zamieszczając również fotoreportaż. Gdy po wojnie widowsko to wznowiono, pokazano Czechom na wycieczce artystycznej do Pragi, również Redakcja wspomnianego pisma z tego faktu bardzo się cieszyła, komentując go i omawiając. Gdy Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej pod dyr. Wandę Kaniorowej z powodzeniem rozwija dawniej rozpoczęte prace, wyjeżdża nie tylko do miast Lubelszczyzny, ale puszca się w wojaż zagraniczny i na Sycylii zdobywa zasłużone laury, „Teatr Ludowy” o tym donosi, i wreszcie gdy zespół amatorski skupiający się w Lubelskim Domu Kultury wystawia nieznaną amatorom eksperymentalną sztukę S. I. Witkiewicza: „W małym dworku” i zdobywa oklaski, obalając dawne przekonanie, że jest to rzecz dla ohotników sztuki teatralnej niedostępna, a dla widzów niezrozumiała, w miesięczniku, o którym mowa, znajduje do swój wyraz.

„Teatr Ludowy”, mimo więc, że wychodzi w Warszawie (a powstał we Lwowie w r. 1908), nie jest pismem nie przekraczającym rogatkę stolicy, ale ogólnopolskim organem, który właśnie w bieżącym roku obchodzi 40-lecie swego istnienia. Wydaje to pismo Zarząd Główny Związku Teatrów i Chórów Ludowych, który również w Lublinie na Zamku ma swój oddział, pracujący pod prezesa Stanisława Lejewdy. Oddział ten posiada niewielkie możliwości finansowe, mały lokal i nie afizkuje się nawet sztydem. A szkoda, bo gdyby więcej osób wiedziało o tym adresie, może by ten i ów wstąpił do Zamku, aby kupić miesięcznik i z jego treści skorzystać. Odnosi się to głównie do kierowników zespołów, instruktorów artystycznych i nauczycieli prowadzących teatry amatorskie i urządzających imprezy artystyczne z dziećmi i młodzieżą szkolną. Bardzo często nie wiedzą oni nawet o istnieniu pisma, które może im przyjąć z pomocą. A przecież na jego łamach znaleźć mogą dobrą sztukę Barnasia pt. „Dziś”, której akcja rozgrywa się na stanowisku ogniowym, w obleżonej przez hitlerowców Warszawie, doskonały materiał na uroczystości i obchody, łatwa do odegrania przez młodzież, albo „Dwie bułki z szynką czyli lekcja historii”, w której Irena Prusicka w bardzo pomysłowy sposób przybliża dzieciom wypadki Wielkiej Rewolucji Październikowej. Sztuka Przybylskiego „Wiecek i Wacek”, w dobrej przeróbce Zdzisława Skowronskiego, będzie radość doskonałą satyrą widzów zespołów

amatorskich, tak jak cieszy od wielu miesięcy byłowców stołecznego Teatru Emality, gdzie jest grana z niestającym powodzeniem. Ci, którzy lubią żart „latwy” farsę nawet, znajdują ją w inscenizacji opowiadań Kornela Makuszyńskiego pt. „Simon Chrząszcz znieważa małżeństwo” albo w „Milionie” Jesionowskiego, gdzie w akcji pełnej zabawnych scen kabe bohaterowi wydać w określonym czasie milion zł co mu się oczywiście nie udaje.

Na uroczystości państwowe opracowały się specjalne zeszyty. Na przykład numer czerwcowy z ub. r. dostarczył wiele materiałów dożynkowych, listopadowy — XX rocznicę powstania PPR, lutowy — mowy z tego roku — materiały na święta pierwowojów, z nową sztuką Leona Pasternaka pt. „Pierwsze kroki” na chrześcijaństwie, a na czerwcu znowu tekst i pieśni dożynkowe w opracowaniu realizatorki dożynkowej ogólnopolskiej na Stadionie Dziesięciolecia — Jadwigi Mierzewskiej.

Prawie każdy numer zawiera bardzo przydatne artykuły na temat poprawności teatru. Jeżeli dodamy do tego uwagi teatralne, kostiumologiczne i z zakresu pracy sceny, to będziemy mieć jeszcze jeden argument przemawiający za tym, że warto prenumerować. Pokażcie miejsce, gdzie wiera dział „Zespoły amatorskie przy pracy”, w którym zamieszcza się recenzje teatralne i literackie, w których zamieszcza się recenzje teatralne i literackie, w których zamieszcza się recenzje teatralne i literackie, w których zamieszcza się recenzje teatralne i literackie. Informuje się przede o przedstawieniach wybitnych, ze względu na ten i ten inny czynnik, mówi się o spektaklach, o których warto obejrzeć w Warszawie i w innych miastach. Zamieszczanie recenzji również w innych miastach jest przedmiotem naszej wyszukania autorów i recenzentów.

Warto również zwrócić uwagę kierownikom zespołów i nauczycielom na encyklopedię teatralno-muzyczną.

Wprowadzony w ubiegłym roku „Teatr Ludowy” przed czterdziestolecie mówiąc o przeszłości unaczniła nam, drogę odbyliśmy od czasów, gdy wyszedł zespół do innego miasta natrafiał na przeszkody finansowe nie do pokonania, np. przyjazd „Wesela Lubelskiego” do Warszawy nie doszedł do skutku tylko dlatego, że nie miał kto pokryć kosztów podróży i zakwaterowania. A dziś Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej ma piękny teatr i przedsięwzięcie. Nikt z młodszych działaczy nie wyobraża sobie nawet, jakiego doświadczenia wielkiego postępu w tej dziedzinie, jak wzrosło zainteresowanie i pomoc z strony władz i społeczeństwa.

Pismo, którego redaktorami byli Jerzy Ciernik i Teofil Matejko, wybitni działacze ludowi i miłośnicy ludowego teatru wkracza w 40-lecie istnienia. Jest to w starsze pismo oświatowo-teatralne w Polsce, ma ono tradycję pracy nad wykształceniem wartości tkwiących w kulturze ludowej naszego ludu, zwróciło po raz pierwszy uwagę na wartości teatralne ludu i obrzędy.

W czterdziestolecie „Teatru Ludowego” należy mu życzyć wielu autorów i współpracowników oraz zdobycia reprezentacji współczesnego.



WYSTAWA „MARTYROLOGIA I WALKA NARODU POLSKIEGO”. WŁADYSŁAW FILIPAK — „PACYFIKACJA”

# O Adolfie Dygasińskim kieleckim pisarzu regionalnym

JULIUSZ NOWAK-DŁUŻEWSKI

Zamieszczając na tym miejscu, w związku z 60-leciem śmierci autora „Godów życia”, artykuł prof. dr. J. Nowaka-Dłużewskiego, zapowiadamy numerze „Kamień” artykuł prof. dr. D. Danki „Twórczość pedagogiczna Adolfa Dygasińskiego”.

REGIONALIZM jako kierunek badań literackich jest u nas sprawą późnej daty: powstaje w drugiej połowie w. XIX jako „uboczny produkt” socjologicznie uwarunkowanego tainizmu.

Regionalizm jako kierunek twórczości literackiej jest u nas i gdzie indziej tak dawny, jak dawno istnieje ogóle literatura piękna. Ze sprawa regionalizmu literackiego jest tak, jak sprawa regionalizmu w sztuce ogólnie: każda sztuka, którą Goethe w rozmowie z Eckermannem uznał za istotę każdego rzetelnego utworu literackiego. Każdy utwór, zdaniem Goethego, musi być tak czy owak początek w jakimś konkretnym środowisku. Podobnie jest z literaturą regionalną: każdy utwór literacki z prawdziwego zdarzenia musimy uznać za utwór z wytwór środowiska, tak czy owak z wytwór kraja, jego, z lacińska mówiąc, regionu. Pewien współczesny niemiecki badacz literatury trafnie, jak się wydaje, stwierdza, że „literatura regionalna nie jest zjawiskiem nowym: każdy prawdziwy utwór poetycki należy do sztuki regionalnej, jeżeli przez twórczość regionalną mamy rozumieć twórczość poetycką uwarunkowaną czynnikami przestrzennymi, czasu i środowiska geograficznego, które z kolei ujawniają się w utworze sztuki literackiej”.

Rzecz oczywista, że taka koncepcja twórczości regionalnej nie ma w tej chwili nic wspólnego z propagandową, tendencyjną twórczością regionalną, z „zamierzonym”, „robionym” regionalizmem literackim, tak jak to było w swoim czasie we Francji choćby za Mistrala, a potem w Niemczech w czasach Bartelsa, Lienharda i innych entuzjastów, mocno postrzelonych, regionalnej twórczości literackiej.

Nas interesuje jedynie taka regionalna twórczość literacka, która w sposób niezależny, „oryginalny”, spontaniczny, jednym słowem, w sposób naturalny wynika ze specyficznego ukształtowania twórczego pisarza jako wyraziciela prawdziwych wartości obiektywnych jego węższej ojczyzny. Idzie, że tylko w takim: „nachyleniu twórczym” dochodzi do zjawiania się utworów prawdziwej poezji, wyrażającej treść duchową poety, to jest w naszym wypadku — naturalną więź uczuciową, łączącą twórcę z jego środowiskiem. Tendencyjny regionalizm literacki jest najczęściej wytworem czystej retoryki. W takich sytuacjach poeta przestaje kształtować w słowie obrazowym swą naturalną postawę duchową: w takich sytuacjach pisarz ucieka się do efektów literackiej retoryki i musi wyrażać swą adwokacką postawę wobec rzeczywistości za pomocą akcentów deklamacyjnych.

DYGASIŃSKI nie ma nic wspólnego z tego rodzaju deklamatorską postawą literacką. Ten mało skomplikowany artysta (jakże często, niestety, za mało skomplikowany w innych wypadkach!) wyraża swe treści uczuciowe w sposób tak naturalny i prosty, jak jego ptactwo, o którym tyle pisze, manifestuje swe istnienie za pomocą śpiewu.

Jak jego regionalna twórczość literacka mało ma wspólnego ze spekulacją rozumową, dowodzi fakt, że brak jest w całej jego twórczości jakichkolwiek śladów regionalistycznej teorii literackiej Bronisława Chlebowskiego; teoria Chlebowskiego polskiego regionalizmu literackiego zjawiała się w roku 1885/86, a więc akurat wtedy, kiedy Dygasiński startuje w swojej twórczości regionalnej — i to w sposób zdecydowany. A przecież Chlebowski był przyjacielem Dygasińskiego, z którym Dygasiński przestawał często (świadczy o tym listy z lat 1885/86, a także „Opis wyprawy wojennej JMP Millicera”, fraszki literackie, skomponowane przez Dygasińskiego „dobrym przyjaciółm gwoździ”).

A więc nie spekulacja, nie żaden wyrozumowany program twórczości i jej planowanie, ale samorodny tej twórczości proces, który wyrasta u Dygasińskiego z uczucia. Wszystkie jego regionalne obrazy powstają ze szczerego przywiązania artysty do jego węższej, ściślej ojczyzny. Córka Dygasińskiego Zofia Wolertowa przekazuje nam rodzinną wiadomość: „strony te, od Kielec do Ojcowy, były najbardziej z całego kraju ukochane przez mojego ojca”. I tak jest istot-

nie, bo tego stosunku dowodzi cała twórczość Dygasińskiego, która wyrosła z gleby kieleckiej.

Urodził się w Niegosławicach nad Nidą; wędrował wraz z ojcem, ekonomem, po różnych majątkach ziemskich, po Pińczowskim i Miechowskim. Uczył się w pięcioklasowej szkole pińczowskiej i szkole realnej w Kielcach. Schodził i zjeżdżał te kraje wzdłuż i wszerz w wieku dojrzałym. Opisy zamków Kielecczyzny, drukowane po czasopiśmie, są świadectwem jego bliskiego kontaktu z dawnością tych starych historycznych ziem, bardzo starych, jak wskazują ostatnie wiślickie odkrycia. I tu rzecz zastanawiająca: stosunek swój do „pionowego” przekroju Kielecczyzny, w jej historycznych perspektywach, ukazał tylko we wspomnianych opisach zamków. Brak jest u Dygasińskiego „pionowego” wglądu w odległą przeszłość jego krajiny w utworach czysto literackich. Ledwie wspomni mimochodem o Pińczowie „starym pielgrzymie dziejowym”, „z którego nóg pyły dalekiej podróży omywa uśmiechnięta Nida”. Gdzieś wspomni jeszcze w paru słowach o arianach pińczowskich, o jakimś znakomitym na one czasy pińczowskim rabinie — i na tym koniec. Rozumie, że mu było trudno pisać o podpińczowskich Grochowiskach, bitwie powstańczej 1863 r., (żywej w tradycji wszystkich chyba pokoleń uczniowskich pińczowskiej szkoły). Ale o sprawach dawnych wolno mu było pisać nawet przy ówczesnej ostrej cenzurze carskiej. Bujna historia przeszłości Pińczowa, reformacyjna, oświatowa i polityczna, nie przeniknęła do jego tamtejszych opowiadań, których jest przecież tyle, nie stała się przedmiotem jego wizji poetyckiej. To samo dotyczy innych okolic jego regionu (choćby historycznych Kielce), ukazywanych z reguły w przekroju współczesnym, poziomym.

Podczas sesji naukowej Dygasińskiego w Pińczowie 3 czerwca tego roku miałem sposobność wskazania w dyskusji na różnicę traktowania krajiny przeszłości przez Dygasińskiego i Żeromskiego, również regionalistę kieleckiego. Żeromski z upodobaniem zanurza się przy każdej sposobności w dalekie dzieje swej kieleckiej krajiny, czego brak u Dygasińskiego. A przecież urodził się, żył i wychował się w ognisku dziejów najatarożytniejszej Polski, w odległości kilku kilometrów od Wiślicy. Kiedyśmy z Pińczowa pojechali do Niegosławic, pińczowski kompetentny krajoznawca (dobrze, że są jeszcze tacy) zaprowadził nas na niegosławską wysoką skarpe, nad dolinę Nidy, z której się ukazał duży szmat tamtejszych okolic. Widać było z drugiej strony zza drzew Wiślicę, z drugiej — bielejącą w dalekiej odległości Krzyżanowice z kościołem fundacji Kollątaja i Zagość, gdzie w w. XIII rezydowali sprowadzeni z Palestyny templariusze. Tego wszystkiego brak jest u Dygasińskiego.

Za to z jakąś niesamowitą pasją, wszystkimi fibrami swej wrażliwej natury, przeżywa współczesność swej krajiny. Zachłannie wgarnia w swoje utwory jako literackie tworzywo pola, lasy, góry, wody i rzeki, wsie i miasta, ludzi, zwierzęta, ptaki, ryby tych okolic.

Trudno mówić bez zwulgaryzowania sprawy o tzw. pełnej „autentyczności” jego wizji rzeczywistości krajiny, regionalnej, utrwalonej w szeregu opowiadań. Wiadomo, że przeżycie literackie rzeczywistości obiektywnej deformuje ją tak czy owak: musi ją deformować, aby ją dostosować do wymagań i potrzeb utworu sztuki literackiej; bez przekształcenia rzeczywistości nie byłoby prawdziwego dzieła sztuki literackiej; byłby co najwyżej reportaż literacki. Tak jest również u Dygasińskiego — z pewnymi jednak, może nawet znacznymi zastrzeżeniami. Zauważono już wielokrotnie, że Dygasiński jako naturalista skłonny jest chwytac i utrwalac u siebie jednostkowe zjawiska obserwowanej rzeczywistości. Podkreśla się jego umiłowanie konkretności, niechęć do literackich konstrukcji typowych, które z natury rzeczy są uogólnieniami wielu obserwowanych szczegółów i zjawisk rzeczywistości. Ta właściwość jego talentu jest do pewnego stop-

nia jego wrodzoną dyspozycją duchową; może być do pewnego stopnia wynikiem przyrodniczego wychowania, które odebrał w Pińczowie i w Kielcach. To wszystko ma duże znaczenie dla wyglądu literackiego opowiadań Dygasińskiego.

Kiedy się czyta jego opowiadania kieleckie, ma się często wrażenie, że Dygasiński portretuje u siebie określone osoby, które poznał, które uznał za ciekawe i za godne pióra literata; osoby te maluje w ich usposobieniu, wyglądzie, ruchach, gestach. Tak właśnie w przybliżeniu wygląda metoda naturalistycznego kształtowania rzeczywistości ludzkiej. Nie mogą się np. wyżyć przekonania, że bohater jego świetnego ojcowskiego opowiadania — dialogu „Chłop o letnikach” to jakiś autentyczny chłop ojcowski, a może nawet sam Seweryn z Czajowic, z którym się zaprzyjaźnił czasu swych wędrowek do Ojcowy. To samo przekonanie towarzyszy lekturze „Jarmarku na św. Onufry”, z paradnymi figurami skalbierskich notabli, i szeregu innych opowiadań. Miejscowości jego kieleckich opowiadań to autentyczne wsie i miasta krajiny kieleckiej. Ukazuje się te wszystkie Skalbierze, Pińczowy, Nowe Brzeska, Słoniki, Proszowice, Skąły, Nowe Miasto, Korczyn, Żebociny, Jurkowskie, Młodzawy, Skowronna itd. w ich geograficznej konfiguracji i we współczesnym zapewne Dygasińskiemu wyglądzie. Rzadko tylko umieszcwi swe opowiadanie w nie nazwanej imiennie wsi; ale i wtedy każde nam odgadywać w nim autentyczną z mapy geograficznej miejscowość, co czynimy z upodobaniem, choć z różnym skutkiem praktycznym.

Pasja malowania „autentycznych” szczegółów z życia ludu czy z krajobrazu jest niewątpliwym skutkiem, już wyżej zaznaczonym, umiłowania przez Dygasińskiego tego wszystkiego z czym się przez czas dłuższy stykał, co widział, co dobrze poznał i wy studiował, do czego nabrał przekonania i co starannie przenosi do swych opisów, uwieczniając u siebie „autentyczne” miejscowości i „prawdziwych” ludzi. Źródła tego umiłowania, o którym mowa, nie należy szukać w kategoriach etycznych, wedle których pisarz warto-

ściuje ludzi, nawet mało atrakcyjni, moranie, podobają mu się jako charakterystyczne modele do opowiadań. Dość tutaj przypomnieć doskonale typy handlarzy malomiasteczkowych i karczmarzy wiejskich. Jak nam podają wiarygodne świadectwa, Dygasiński mógł cały dzień waleśać się po jarmarku w Skale (dokąd uciekał od preferansa z Ojcowy), zbierając wzory dla swej literatury.

„Autentycznie” maluje u siebie również świat zwierząt. Przecież słynny jego As jest portretem realnego psa, jak Lis, bohater jednego z celniejszych opowiadań Dygasińskiego, jest autentycznym lisem z rzeczywistego życia. Często podziwiamy u Żeromskiego jego drobniagowe studia z natury nad roślinami i kwiatami (np. w „Promieniu”), nad ptactwem. Nie znalazł się dotychczas żaden Stanisław Adamczewski, aby obliczyć wszystkie te botaniczno-ornitologiczne zabiegi Dygasińskiego, zważyć je i właściwie ocenić. Wtedy można by ustalić w sposób możliwie najściślej, co z jego wiedzy o człowieku, o zwierzętach, ptakach i rybach w jego opowiadaniach płynie z przeżyć kieleckich, a co z przeżyć innych.

Boć to regionalista nie tylko kielecki. Kiedy się obserwuje pomysłową mapę, opracowaną przez Władysława Wolertę, zięcia Dygasińskiego, ukazującą tematyczne rozmieszczenie jego utworów na terenie polskim, widać się ich zagęszczenie w dorzeczu Nidy, w Kielcach i ich okolicach, skąd się w pojedynkę czy w drobniejszych skupieniach rozchodzą na wschód, zachód i północ (południe zamykał kordon austriacki). Nie możemy jednak zapominać, że niektóre ładne opowiadania Dygasińskiego pochodzą z okolic Radomia, znad Narwi, nawet z Wołynia (w Młynowie nad Ikwą Chodkiewiczów spędził czas jakiś na guwernerce).

W każdym jednak razie plastycznie wyznaczona i określona indywidualność krajiny Dygasińskiego to region kielecki, zamknięty w trójkącie rzek Szreniawy, Pilicy i Wisły. Ten regionalizm określa w zasadzie nie tylko indywidualność pisarską Dygasińskiego, ale i jego pozycję w literaturze polskiej, jej dziejach.

To pisarz kielecki z urodzenia, nerwu pisarskiego, przekonania i z udanej mimo wszystko praktyki literackiej. To nie tylko pierwszy pisarz „kielecki” w rozleglejszym słowno znaczeniu (pamiętamy wstępne uwagi tego studium), ale pierwszy w tym znaczeniu krajiny pisarz polskiej literatury nowszej — przed krajinnymi pisarzami Tatr i Beskidu — St. Witkiewiczem i Tetmajerem. Nie waham

(Dokończenie na str. 4)

WYSTAWA „MARTYROLOGIA I WALKA NARODU POLSKIEGO”



BENON LIBERSKI — „ŁÓDŹ WOLNA” (olej)

# Rzeszowszczyzna czyta coraz więcej

(Wywiad z dyrektorem Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Rzeszowie, mgr Stanisławem Piziakiem).

— Może zaczniemy od danych statystycznych. Województwo rzeszowskie zamieszkuje ponad milion sześćset tysięcy ludzi. Ile książek przypada na jednego mieszkańca?

— Z końcem ubiegłego roku na każdego mieszkańca Rzeszowszczyzny przypadało 1,17 książki. Przy tym na wsi mieliśmy zaledwie 0,9 książki na mieszkańca, w mieście natomiast 2,1.

— Jak wygląda to w skali krajowej?

— Jeżeli chodzi o ilość książek przypadających na 100 mieszkańców, jesteśmy na dziewiątym miejscu na dwadzieścia dwie jednostki w kraju.

— Zajmujecie więc miejsce mniej więcej pośrodku tabeli. W każdym razie, w porównaniu z innymi wskaźnikami, jak np. ilość łóżek w szpitalach, ilość osób, przypadających na jedną izbę — jest to lokata naprawdę dobra. Z cyfr, które pan przytoczył wynika jednak, że w dalszym ciągu wiesz rzeszowska jest stosunkowo słabiej zaopatrzana w książki.

— Wynika to stąd, że jakkolwiek kredyty są dość duże — w ubiegłym roku wydatkowaliśmy na zakup książek do bibliotek publicznych trzy miliony osiemset czterdzieści tysięcy złotych...

— ... zajmując pierwsze miejsce w kraju, pozostawiając w tyle nawet miasto Warszawę, czy tak bogate województwo jak Katowice?

— Tak, to prawda, jednakże te kwoty są w dalszym ciągu niewystarczające. Ponieważ książki do bibliotek gromadzkich, punktów bibliotecznych — zakupują biblioteki powiatowe, starają się one zaopatrzyć przede wszystkim księgozbiory powiatowe i miejskie. W wielu wypadkach nie starcza już książek dla bibliotek wiejskich.

— Od kilku lat sporo rad powiatowych województwa rzeszowskiego stara się przyjść z pomocą bibliotekom, przydzielając specjalne kwoty na zakup książek z podziału nadwyżki budżetowej.

— Co prawda to nie tylko powiatowe rady narodowe, ale także gromadzkie rady co roku przeznaczają część kredytów z nadwyżki budżetowej dla bibliotek. Np. w powiecie debickim większość rad gromadzkich przeznacza część nadwyżki — średnio około dwóch tysięcy złotych na zakup książek. Jednak pieniądze z nadwyżki stanowią tylko dodatkowe i niepewne kredyty. Liczymy więc przede wszystkim na kwoty zabezpieczone w budżetach rad powiatowych. W tym roku sumy na książki w budżetach powiatów wahają się w granicach od pięćdziesięciu do dwustu osiemdziesięciu tysięcy złotych. Jak z tego widać, między poszczególnymi powiatami są bardzo znaczne

różnice i co ciekawsze — wcale nie wynikają one z zamożności powiatów, ale raczej z tego czy o sprawach tych decydują ludzie rozumiejący znaczenie książki. Chciałbym tutaj powiedzieć, że w zakresie zwiększania księgozbiorów bibliotek publicznych czeka nas poważna praca: w myśl uchwały Prezydium WRN z 1961 roku, biblioteki publiczne powinny posiadać do roku 1965 księgozbiory w wysokości dwóch książek na jednego mieszkańca. Zadaniem będzie można zrealizować pod warunkiem, że kredyty na zakup książek będą stale wzrastać.

— Zaczęliśmy od książki — podstawowego elementu w problematyce czytelniczej — z kolei pora na biblioteki. Czy sieć bibliotek, którą dysponujemy obecnie Rzeszowskie, zaspokaja potrzeby ludności?

— Jeżeli chodzi o sieć, to uważam, że obecnie wszystkie pałace potrzeby, tak w mieście, jak i na wsi, zostały zaspokojone. W ostatnich latach wzięliśmy dość duże tempo. Przypomnę, że w ubiegłym roku założyliśmy sześćdziesiąt dziewięć bibliotek gromadzkich i wiejskich. Obecnie mamy ponad pięćset bibliotek gromadzkich i wiejskich i pięćdziesiąt powiatowych, miejskich i osiedlowych. Kładziemy również duży nacisk na rozwój czytelnicy przy bibliotekach: obecnie mamy już sto dziesięć czytelnicy, w tym na wsi, gdzie są one szczególnie potrzebne, osiemdziesiąt pięć. W bieżącym roku, tylko w okresie Dni Oświaty, Książki i Prasy otwieramy jedenaście nowych czytelnicy. Skoro mowa o czytelnicy — warto wspomnieć o czasopiśmie: wydajemy na prenumeratę pism sumę, która stawia nas na siódmym miejscu w kraju.

— Jak wygląda sytuacja lokalowa rzeszowskich bibliotek?

— Potrzeby są nadal bardzo duże i na tym polu zaniedbania chyba są największe. Uwidacznia się to przede wszystkim w tym, że biblioteki, a raczej ich większość, są z koniecznością tylko wypożyczalnią książek. Nie można w nich założyć czytelnicy, można prowadzić prace z czytelnicykami. Mimo że w ostatnim okresie mamy do odnotowania takie fakty, jak uzyskanie nowego lokalu dla bibliotek powiatowych w Przeworsku i Ropczycach, otwarcie nowoczesnej, ślicznej biblioteki dziecięcej w Rzeszowie — mimo to nadal wiele bibliotek i to nie tylko gromadzkich ma poważne kłopoty lokalowe. Na przykład biblioteka powiatowa w Lesku ma bardzo kiepski lokal, biblioteka powiatowa w Debicy

(Dokończenie na str. 11)

## WINCENTY ZAWIRSKI rynek rzeszowskiego miasteczka

jedna pani  
druga pani  
trzecia pani  
ni ostrołuków  
ni podoleni  
ani księżycy w studni  
który  
badałby środek ziemi  
zaraz przyjadą  
z Palikówki  
podniecą rynek  
kwikiem prosiat  
ptaszków gwizdaniem  
widokiem  
świętych wypalanych

pachnie już rynek  
wielkim światem

wychodzi Jasiek  
z panną Klara  
wybieraj panna

jedna pani  
druga pani  
druga pani  
trzecia pani

oj  
będzie temat

## LUDMIŁA PIETRUSZKOWA Podobieństwo

Kroczyysz szeroko  
po parklecie  
kołysząc poślądkami  
rżysz  
białym uzębieniem  
a włosami  
wstrząszasz dumnie  
jak grzywą  
a twoje oczy  
aż dziw  
jak podobna  
jesteś  
do klaczy

w postaci drukowanego słowa, ale udostępniła też bezpośrednie spotkanie z autorami, a czyni to w sposób taki, że człowiek mimo woli wciąż przystaje w kontakt z całą twórczością autora, który ma przybyć na „spotkanie”.

Mieliśmy możliwość rozmawiać w Rzeszowie z wieloma autorami: z Julianem Przybosiem, Olgierdem Gerleckim, Jerzym Andrzejewskim, Jerzym Putramentem, Jerzym Broszkiewiczem, Michałem Rusinkiem, Jerzym Afanasjewem, Hanną Mortkiewicz-Olczakową, Wilhelmem Machem, Jerzym Zagórkim, a ostatnio z redaktorem naczelnym „Kamenu” Marią Bechcyc-Rudnicką i z prezesem Lubelskiego Oddziału ZLP Konradem Bielskim.

Autorzy nam ogół zatrzymywali się nie tylko w Rzeszowie, lecz ofiarnie docierali do najodleglejszych miejscowości województwa.

W województwie rzeszowskim czytelnictwo rozwija się i wzmaga w bardzo szybkim tempie. Atmosfera sejmiku w Kolbuszowej, udział w nim przedstawiciela Ministerstwa Kultury i Sztuki, władz wojewódzkich i miejskich były dowodem zainteresowania rozwojem czytelnictwa ze strony czynników kierujących polityką kulturalną i ze strony społeczeństwa. Przemówienia bibliotekarzy, zwłaszcza tych z wiejskich ośrodków, gawaly obraz ich pracy, trudności i rzadkości z osiągniętych wyników, a przede wszystkim wielkiego zapалу i poświęcenia.

Są oczywiście jeszcze powiaty, w których brak dostatecznej ilości i jakości książek — i o tym mówiono na sejmiku — brak lokali i brak odpowiednich ludzi, ale eksperyment kolbuszowski już wskazuje, gdzie ludzi szukać, a wszystko zależy od człowieka.

Podjęta niedawna inicjatywa współpracy kulturalnej czterech województw: białostockiego, kieleckiego, lubelskiego i rzeszowskiego już pewne pokrewne instytucje realizują. Odbitya się w listopadzie ub. roku w Lublinie narada przedstawicieli muzeów okręgowych tych czterech województw, w Rzeszowie bawił Teatr im. Juliusza Osterwy z Lublina, zaś rzeszowski Teatr im. Wandy Siemaszkowej grał w Lublinie, wyjeżdżała do Kielc i Lublina orkiestra symfoniczna z Rzeszowa. Czy nie byłoby pożądane, aby doszło do wymiany spostrzeżeń i osiągnięć również w dziedzinie upowszechnienia czytelnictwa? Gdyby po odbyciu sejmików w rodzaju kolbuszowskiego przedstawiciele bibliotekarzy i Kół Przyjaciół Książki spotkali się na jakimś ogólnym zjeździe, można by wiele spraw omówić z wzajemnym pożytkiem, najwięcej bowiem korzyści dają, jak wiadomo, bezpośrednie kontakty.

Jestem przekonana, że zbyt mała jeszcze znajomość „Kamenu” w Rzeszowie — po spotkaniu z jej redaktorem — ulegnie zmianie i że znajdą się sposoby, aby „Kamenu” docierała do rąk właściwych adresatów, a więc zwłaszcza działaczy kulturalnych, bibliotekarzy i nauczycieli.

Janina Guzowska

## List z Rzeszowa

### NASI PRZYJACIELE KSIĄŻEK

Zjechali się w dniu 27 maja br. w Kolbuszowej na Sejmik Wojewódzki. — Ze sejmiku odbywał się nie w mieście wojewódzkim — w Rzeszowie — zle właśnie w niewielkim mieście powiatowym, ma to swój powód i wyraz. Tu bowiem odbył się tzw. „eksperyment kolbuszowski”. Szukając form i dróg dla rozwoju czytelnictwa dokonano w Kolbuszowej eksperymentu, polegającego na jak najściślejszym współdziałaniu nauczycielstwa i bibliotekarzy.

W środowisku wiejskim lub małomiasteczkowym ci ludzie podają sobie ręce, udzielają wzajemnej pomocy, pomocy realnej zwłaszcza w warunkach braku odpowiednich lokali; wspierają się wiedzą i prowadzą wspólnie i skutecznie akcje na rzecz upowszechnienia czytelnictwa. Oczywiście przyjmowanie biblioteki publicznej do budynku szkolnego, jak stwierdził na sejmiku kierownik Wydziału PRN w Kolbuszowej, Maciej Skowroński — traktowane być musi jako forma przejściowa do czasu, kiedy biblioteki będą posiadały własne pomieszczenia, a współpraca będzie polegała raczej na spotkaniach, wymianie spostrzeżeń i doświadczeń.

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Rzeszowie przyjęła za motto sejmiku słowa Jana Kasprówicza: „Ten jest najszczęśliwszy z ludzi, któremu nie zapuło do książki nie studzi”. Widniało to motto na sali obrad sejmiku w Powiatowym Domu Kultury w Kolbuszowej i na ładnych zaproszeniach rozesyłanych do przyjaciół książki.

Biblioteka Publiczna w Rzeszowie daje zresztą nam czytelnikom nie tylko książkę

## O Adolfie Dygasińskim...

(Dokończenie ze str. 3)

się uznać go za bezpośredniego spadkobiercę regionalnego pisarza kieleckiego literatury staropolskiej Wespazjana Kochowskiego.

Mimo wszystkie słabizny kompozycji, a nawet prymitywizm w konstruowaniu fabuły, mocna pozycja „Zyciowa”, „przeżyciowa”, krajinna jego utworów okupuje ich niedostatki i brak i wyznacza Dygasińskiemu poczesną rangę wśród pisarzy polskiego pozytywizmu. Tak pisać drobne rodzaje rzeczy, jak on je pisał, nie potrafili nawet asy pozytywistyczne, jak Prus, Orzeszkowa czy Konopnicka. Brzmi to — cokolwiek paradoksalnie — ale jest faktem niezbitym. Łatwo bym mógł tego dowieść w tej chwili, gdybym miał na to miejsce. A już cała głowa przerasta współczesnych sobie drugorzędnych pisarzy, jak swego serdecznego przyjaciela Sygietyńskiego, Junoszę, Bałuckiego i Maciejowskiego. Kończę i powiem jeszcze jedno. Czekamy na pełne wydanie pisma Dygasińskiego, którego precz brak. Czekamy również na pełną monografię tego pisarza, która by była tak dobrze napisana, jak przedwojenna monografia Zygmunta Szwejkowskiego, ale wypełniająca kontury koncepcyjne pełniejszą od niej treścią rzeczową i informacyjną.

Juliusz Nowak-Dłużewski

Warszawa lipiec 1962 r.



KIELCE NOCA — FOT. IRENEUSZ SZUKALSKI

**Widzi mi się**

**TWÓRCA**

**WSPÓŁCZESNEJ**

**POEZJI**

**BIALORUSKIEJ**

W CZERWCU upłynęło dwadzieścia lat od śmierci Janki Kupala, poety, który, jak słusznie zauważył Maksym Ryłski, w literaturze białoruskiej spełnił taką rolę, jaką Szwarcenکو — w ukraińskiej. Bo choć i przed nim Białoruś miała poetów (W. Barankiewicz, F. Bohuszewicz, J. Łuczyna), ale żaden z nich nie miał tego znaczenia i talentu, co Kupala.

Właściwe jego nazwisko — Iwan Łuczyniewicz. Wywodził się z drobnej szlachty, a ojciec jego był dzierżawcą, wciąż zmieniającym miejsce pracy, dzięki czemu przyszły poeta dobrze poznał nędzę ludu białoruskiego, jego życie, obyczaje i smętną urodę ojczystego krajobrazu. Ale nie mógł kształcić się systematycznie. Po ukończeniu szkoły ludowej w Białorecku szesnastoletni młodzieniec zetknął się z liberalnym ziemianinem, byłym uczestnikiem powstania styczniowego — Polakiem S. Czechowiczem. Kupala korzystając z jego bogatej biblioteki poznał w oryginalnie wielkich poetów polskich, rosyjskich i ukraińskich — Mickiewicza, Słowackiego, Syromonię, Puszkina, Lermontowa, Niekrasowa, Szewczukę i in. Najbardziej odpowiadali mu pisarze przedstawiający ciężką dolę ludu: Niekrasow, Kolcow, Syromonia, Konopnicka, Szewczenko. Pod wpływem tej lektury i pieśni ludowych, które słyszał z ust chłopów, obudził się w nim później poeta.

Na razie, po śmierci ojca, w trosce o byt matki i siostr musiał szukać pracy zarobkowej jako robotnik. Trzy lata mordercy w gorzelni były okresem kształtowania się jego rewolucyjnych poglądów. Wtedy też zaczął pisać swoje pierwsze utwory.

Revolucja 1905 r. zmusiła rząd carski do pewnych ustępstw w jego polityce rusyfikacyjnej. Zniesiono zakaz drukowania pism i książek w języku białoruskim, w Wilnie zaczęła wychodzić postępowo „Nasza Dola”, a po jej zamknięciu bardziej umiarkowana „Nasza Niwa”, przy której skupiało się wielu inteligentów białoruskich pochodzących z ludu, wśród nich i Janka Kupala. Po uzupełnieniu swego wykształcenia na czteroletnich kursach w Petersburgu został on redaktorem „Naszej Niwy” i przetrwał na tym stanowisku aż do zlikwidowania pisma przez rząd carski w 1916 r.

Na pierwsze utwory Kupala zwrócił uwagę Gorki. Jeden z nich „A kto tam idzie?” przełożył na język rosyjski. Z entuzjazmem pisał o tym wierszu, „który może na pewien czas stanąć się białoruskim hymnem narodowym”. To życzliwe stanowisko Gorkiego umocniło Kupalę w przekonaniu, że kroczy właściwą drogą i było zachętą do dalszej pracy.

Twórczość Kupala można podzielić na dwa okresy: od rewolucji 1905 r. do pierwszej wojny światowej i od rewolucji październikowej i powstania Białoruskiej Republiki Radzieckiej do śmierci poety.

W pierwszym okresie, związanym z Wilnem, Kupala wydał trzy zbiorki: „Fujarka”, „Gęślarza” i „Szlakiem życia” i napisał kilka poematów i dwie sztuki. Już wtedy zarysował się wyraźnie jako wybitny pisarz o tematyce narodowej i społecznej, ściśle związanej z ludem i walczącej o jego przyszość. Nikt przed nim w poezji białoruskiej nie był w takim stopniu poetą narodowym. W utworach z tego okresu mimo gęsto rozsypanych w nich cieni, bo ciężkie było życie ludu, brzmi zawsze nuta optymizmu, wiary w triumf sprawiedliwości.

Po zwycięstwie Wielkiej Rewolucji Październikowej i powstaniu Białoruskiej Republiki Ludowej, w nowych zmienionych warunkach, pełnym głosem zabrzmiała poezja Janki Kupala. W nowej rzeczywistości twórczość jego staje się mocnym wyrazem jego rewolucyjnych przekonań. Zbiorki „Spadek”, „Nienazwane”, „Białorusi odznaczonej orderem” i „Pieśni budownictwa” mówią o „obrzymych zmianach zachodzących w jego ojczyźnie, do niedawna „łapczaniej” Białorusi, krainie nędzy i zaojania, puszcz i bagien nieprzebranych. Ojarskiej pracy melioracyjnej na Polesiu, mającej na celu osuszenie bagien i wyrwanie z nich nowych żyznych terenów dla rolnictwa, poświęca Kupala poemat „Nad rzeką Oressą”. Inny utwór „Miasto Borysów” przedstawia uprzedmiotowienie tego przedsięwzięcia jeszcze laty głuchego miasta prowincjonalnego. Zakres tematyczny poety wzbogacił się teraz znacznie i sięga poza Białoruś: pisze wiersze o Gruzji, o Ukrainie, poemat o Szewczenku — „Dola Tarasa”.

W r. 1925 w dwudziestolecie swej pracy literackiej Kupala otrzymuje od rządu białoruskiego zaszczytny tytuł poety narodowego.

Ze szczególną siłą odezwał się patriotyzm poety w czasie ostatniej wojny. W licznych wierszach, z których

**JANKA KUPAŁA**

**Olesia**

Kuka zozuleńka w zielonutkim lesie, wroży matuleńka przyszły los Olesi.

Puszcza w krąg szumiąca nocą, dnem i rankiem, a matka śpiewała dziecku kołysankę.

— Spij już, spij, córcecko, ptaszki sen utulił, usnij, mój kwiateczku, lull, lull, lull.

Śpij, gołąbku jasny, przyjdzie taka chwilka i na nogach własnych stanie ma dziewczynka.

Będzie praść przedziwo, i czekać przy krosnach, czy jej dar szczęśliwy ześle młoda wiosna.

Kuka zozuleńka w zielonutkim lesie, nie wie matuleńka nic o swej Olesi:

Bo już czas się zbliżył, córka sił nabrała i jak ptaszek chyży w górę poleciała.

Leci na maszynie leci na skrzydlatej i nad ziemią płynie, nad rodzinną chatą.

Leci ponad chmury przez powietrzne strony i jak jastrząb z góry skacze z spadochronem.

‘Lub do słońca śmigłem wwiereca się wciąż wyżej, samolotu skrzydłem w niebie się kołysze.

A matka z podwórka patrzy się bez końca, czy nie zleci córka do jej nóg spod słońca.

Kuka zozuleńka w zielonutkim lesie, jaki los Olesci.

Przełożył K. A. Jaworski

**TWORZYMY KOLEGIUM**

KONRAD BIELSKI

Coraz częściej w naszych codziennych rozmowach i dyskusjach powracała myśl, żeby kontynuować wydawanie pisma literackiego, żeby wskrzesić naszego „Reflektora”, ale tym razem przygotować go należyło, by mógł śmiało rywalizować z periodykami stołecznymi. Zdawało nam się wtedy, że poziom pisma będzie zależał w znaczącej mierze od doboru współpracowników i że świetnie i znane w całym kraju pióra — dodadzą z kolei świeżości naszym poczynaniom. Nie wzięliśmy jeszcze dostatecznie we własne siły; chcieliśmy na razie pozostać na dalszym planie, ustępując pierwszeństwa bardziej znanym, którzy mieli nam poniekąd torować drogę. Na razie nie mieliśmy żadnego programu artystycznego, program ten powstał później, równocześnie z nabieraniem przez nasze pismo wyraźnego i zdecydowanego oblicza.

rech. Podpisywałem korespondencję, otrzymywałem szereg listów (nikle szczeniaki jeszcze mi tego pozostały), ale w sprawach zasadniczych decydowałem tylko po uprzednim porozumieniu się z kolegami.

Ukazanie się pierwszego numeru poprzedziło mnóstwo narad, zebrań i bardzo gorących dyskusji. Odbywały się one w kawiarni, w knajpie, lub też w redakcji „Ekspresu Lubelskiego”, która stopniowo stawała się również naszym lokalem. Co do jednego zgodziliśmy się wszyscy, że pismo powinno być dobre, na należytych poziomach i pozbawione wszelkich cech prowincjonalnych. Poza tym oczywiście nowoczesne, ale na czym ta nowoczesność ma polegać — jeszcze tak dobrze nie zdawaliśmy sobie sprawy.

Przed wszystkim należało więc omówić nasz osobisty wkład, który trzeba było wnieść do pierwszego numeru. I tu nawet powstało sporo kłopotów. Każdy przyniósł co w danej chwili miał najlepszego, ale skoro zaczęliśmy to wzajemnie wypytywać, krytykować, nawet wybrzydzać — pozostało pozycji niewiele, na które była ogólna zgoda.

Należy podkreślić, że twórczość indywidualna każdego z nas kształtowała się równolegle z rozwojem pisma i wtedy, gdy osiągnęła maksymalne możliwości, „Reflektor” przestał wychodzić. Najlepiej to można zaobserwować na przykładzie najbardziej ubitniejszego — Czechowicza. Przyniósł on na to inauguracyjne zebranie mnóstwo wierszy, lecz wybór był trudny — większość z nich była żenująco słaba. A myśmy przecież chcieli w tym pierwszym numerze wystąpić możliwie okazale. Toteż odrzuciliśmy dużo. Sądzę, że nie było z naszej strony żadnej omyłki lub niesprawiedliwości, czego dowodem, że sam Czechowicz żadnego z tych wierszy nie umieścił później w swych zbiorach, ani nawet nie wydrukował w czasopiśmie.

Po wielu dysertacjach i naradach wybraliśmy wiersz pt. „Zabawa”. Był to utwór w typie Leśmianowskim.

Początkowo nawet każda zwrotka kończyła się przysięgą: „dylu dylu na badylu”, z powtórzeniem ostatnich słów. Na skutek naszej perswazyji ten refren ostatecznie Czechowicz skreślił. Różny można mieć pogląd na wartość tego wiersza (nie tak dawno w rozmowie ze mną nie był jak koneser — Anatol Stern twierdził, że jest to jeden z najlepszych utworów Czechowicza), jest tylko pewne, że sam Czechowicz odszedł od tego rodzaju daleko i „Zabawy” nie umieścił w żadnym ze swych zbiorów. Już w drugim numerze „Reflektora” Czechowicz jest inny, a w trzecim znajdują się wiersze, które śmiało można nazwać szczytowymi osiągnięciami jego poezji.

Mniej więcej podobna sytuacja była i u nas — pozostałych. Wiersze Gralewskiego w pierwszym numerze i drugim różnią się między sobą pod względem wartości co najmniej o klasę. A moja „Polityka”, mimo pewnej drapieżności, zawierała jeszcze wiele cech wtórnych zapożyczonych z literatury.

Skoro już określiliśmy własny udział, trzeba z kolei było zastanowić się nad tym, kogo zaprosić do współpracy. Przede wszystkim wzięliśmy pod uwagę ludzi, którzy z nami byli zaprzyjaźnieni i pisali już w tym pierwszym „Reflektorze” w 1923 r. Tadeusz Bocheński i Kazimierz Andrzej Jaworski niewątpliwie zaliczali się do takich i do nich przede wszystkim postanowiliśmy zwrócić się z propozycją umieszczenia swoich utworów. Krzywił się co prawda Bobrowski na Bocheńskiego, znalazł jego twórczość i credo artystyczne, które między innymi wyraził w artykule pt. „Spontanizm” właśnie w poprzednim „Reflektorze”, i uważał że jego poglądy nie dadzą się pogodzić z kierunkiem, jaki pismo nasze bę-

najgłośniejszy „Do partyzantów białoruskich”, mobilizuje nekany kłęką wojenną i okrucieństwem niemieckiego faszyzmu naród białoruski do wytrwania i zwycięstwa, w które wierzył niezłomnie. Nie doczekał go jednak. Zmarł w Moskwie w czerwcu 1942 r.

Popularność Janki Kupala w Związku Radzieckim, a szczególnie na Białorusi, jest ogromna. W Mińsku stanął pomnik poety i powstało muzeum związane z jego twórczością. Wiersze Kupala wielokrotnie tłumaczono na język rosyjski, ukraiński i in.

W Polsce niewiele wiemy o pisarzu, który znał i cenil literaturę polską, który przekładał na język białoruski naszych poetów. Dobrze się stało, że Państwowy Instytut Wydawniczy w związku z dwudziestolecie śmierci i osiemdziesięciolecie urodzin Janki Kupala wydał w malej ilustrowanej serii poetyckiej zbiorce zawierający 17 wierszy poety pt. „Dzień powszedni, ubogi”. Utwory do estetycznie prezentującej się książeczki wybrał Bogdan Zyranik, a przetłumaczył je Janina Brzostowska, K. A. Jaworski, Leopold Lewin, Eustachy Łapski, Seweryn Polak, Maria Szczepowska i Bogdan Zyranik.

X. Rovay

Toteż gdy pewnego dnia, przy końcu roku 1924, Gralewski powiedział nam, że już przemyślał i zabezpieczył środki, należy więc przystąpić do realizacji „Reflektora” — powstała sytuacja podobna jak przy pierwszym numerze. Była jednak istotna różnica: sformułował się samodzielnym pewien zespół ludzi. — Bobrowski, Czechowicz, Gralewski i ja — myśmy byli organizatorami pisma, to było tak zwane dzisiejsze kolegium redakcyjne, a wszyscy inni współpracownicy bliźni i dalej oddzieleni byli od nas coraz bardziej zaznaczącym się dystansem. To był już wyraźnie zarysowujący się kontur samej grupy, później do nas na tychże prawach dołączył się Stanisław Gredziński.

Dokonaliśmy podziału funkcji, czego nawet wymagały obowiązujące przepisy. Jako wydawca podpisywać miał numer Gralewski, on zresztą naprawdę zajmował się stroną administracyjną i znał się na tym; jako redaktor — ja. Bobrowski był upelnomocnionym przedstawicielem redakcji w Warszawie, później występował jako współredaktor. Mimo jednak tego podziału w sprawach redakcyjnych zdecydowaliśmy kolegiąlnie w cze-

dzie musiało reprezentować. Bobrowski — teoretyk naszej grupy — już wtedy orientował się, na jakich brzegach ostatecznie wylądujemy i obiekcje jego były niewątpliwie słuszne. Uznaliśmy jednak, że pominięcie Bocheńskiego będzie aktem grubego niełojalności, zresztą obiecywalimy sobie, że dużo nam pomoże jego gruntowna znajomość języków w tłumaczeniach i sprawozdaniach z zagranicznej prasy literackiej.

Pozostał na placu jeszcze Karol Husarski, który zresztą o naszych zamierzeniach już wiedział, sam zafiarował swą współpracę i chęć pomocy nam w nawiązaniu kontaktów z innymi pisarzami, zamieszkałymi poza Lublinem, a w szczególności ze swym bratem Wacławem, który był wtedy znanym i wysoko cenionym krytykiem sztuk plastycznych. Zgodziliśmy się na wszystko, licząc specjalnie na ułatwienie tych kontaktów.

Z Husarskim od początku było sporo kłopotów. Najpierw oponował przeciwko tytułowi pisma. W liście do mnie pisanym z Kazimierza protestuje zdecydowanie i gwałtownie przeciwko tytułowi, który uważa za „sztubacki, naiwny i niesmaczny”. Oświadcza uroczyście, że w piśmie o takiej nazwie nie będzie mógł pracować, oraz twierdzi, że wszyscy jego znajomi, których nam polecił również odmówią współpracy z powodu tego kompromitującego tytułu. Ze swej strony proponował „Runo”, „Ruń” — a przede wszystkim „Gontyne”.

Już w tym sporze o tytuł zaznaczyła się linia podziału. Chociaż przy tym pierwszym numerze nie pokazaliśmy jeszcze zdecydowanego awangardowego oblicza, to jednak wyraźne tendencje w tym kierunku były. Zaznaczało się to choćby w na-

(Dokończenie na str. 11)



# O MISTRZACH OBIEKTYWU — OBIEKTYWNIE

JERZY KURYLUK

CZEMU NIE W LUBLINIE?

Wystawy krajowe, urządzone przez ZPAF, których było w 1961 roku z sumie 48, miały charakter bardzo rozmaity. Od wielkiej wystawy międzynarodowej aż do skromniejszych lokalnych pokazów prac jednego tylko artysty. Jeżeli jednak zanotujemy z satysfakcją, że większość tych wystaw odwiedziła, obok Warszawy, inne miasta polskie (poza wystawami o wyraznym charakterze „lokalnym”), to z kolei trudno poczytywać za objaw miły i pomyślny, że w Lublinie była tylko jedna wystawa (retrospektywna B. J. Dorysa), w całym Lubelskiem — także jedna („Kazimierz, jakiego nie ma” B. J. Dorysa w Kazimierzu). Coś tu nie gra. Wszędzie panuje wielki i rosnący ruch w fotografii, a w Lublinie z przyległościami — cisza. Kto zdecyduje się ją przerwać? Może jednak miejscowa delegatura ZPAF?

Członkowie ZPAF — grupowo lub indywidualnie — brali udział (ciągle mowa o 1961 r.) aż w 50 wystawach międzynarodowych, zdobywając w sumie kilkanaście cennych nagród.

O IZOHELII I POPULARYZACJI

A w roku bieżącym? W ramach zaplanowanej wymiany wystaw z Meksykiem już została otwarta w tym kraju ekspozycja polska. Wystawa w Pekinie otwarta będzie w jesieni br. W listopadzie — reprezentacyjna wystawa fotografii polskiej w Rzymie (do 180 prac). Przewiduje się też wymianę wystaw ze Związkiem Radzieckim. W 1962

(Dokończenie na str. 8)



FOT. JAN JASTRZEBSKI — „PROBLEM”

## Niepokojące egzaminy

(Dokończenie ze str. 1)

na, gdyż młodzież pisze o powieściach najlepiej (względnie) znanych, o *Lalce*, o *Marcie*, o *Nad Niemnem*, raz tylko o *Faraonie*, raz tylko o *Dziurdziach*. Dominuje temat rozprawkowy, rozpoczynany od hydrocefalicznego wstępu: historycznego, historycznoliterackiego, biograficznego, potem streszczenie, a gdzie choć trochę analizy i wniosków? Te wstępy są zresztą uniwersalne, pisze się np. o emigracji po powstaniu styczniowym, jako o zjawisku decydującym o obliczu literatury, pisze się, że Orzeszkowa żyła w okresie wrzenia rewolucyjnego i wyzwalania się narodu. Takimi ogólnikami można śmiało rozpoczynać pracę o Mickiewiczu i o Żeromskim, zjawiają się one po to, by jakoś zacząć pisanie. Czyż doprawdy analiza literacka w szkole wciąż krąży dookoła utworu bez wejścia w jego wnętrze? W dodatku te wstępy nie są wcale rzeczowo poprawne, Stanisława Konarskiego robi się Szymonem i każe mu się dziać po pierwszym ro biorze i za Se mu Wielkiego. Egzamin uszny z historii uzupełnia te potknięcia, tu bowiem się okazuje, że Wazowie byli dynastią rodem z Francji, że Katarzyna II panowała w wieku XIX, że imiona innych zaborców to zagadka, że w roku 1914 stronami wojującymi były Prusy i Związek Radziecki, Polska zaś angażowała się w ten sposób, że KPP stała po stronie ZSRR, bo już Legiony tkwią całkowicie w sferze nieświadomości. Odpowiedni chaos musi być i w chronologii okresów literatury: barok wywodzi się z Odrodzeniem, Jezierski myśli się ono z Jasińskim, otrzymuje też mniej chlubne imię — Kajetan. Frycz należy do Oświecenia, a pomiędzy bajkami do Krasickiego omawia się frazki *O Koźle* i *O doktorze Hiszpanie* — Koźle chanońskiego. Przy odpowiedzi usnej można to i owo położyć na karb zdenerwowania kandydata i zwykle egzaminator stara się wyprowadzić go z błędów, co przezwyciężając się udaje. W pracy pisemnej jednakże błąd pozostaje nie tylko dla korektora, bo przecież młody człowiek ma go przed oczyma. Jest więc dowodem wiadomości niepełnych i chaotycznych.

Chaotycznie też wygląda relacja z lektury, a nawet przeczytane utwory splatają się ze sobą w niebywale *mixtum compositum*: Wokulski zwi-

adza hutę żelazną i ogląda młodego robotnika silacza, w *Lalce* występuje problem bezdomności — na przykładzie studentów. Ale hutę w *Lalce* ogląda Izabela, nie Wokulski, natomiast czyni to Judym w *Ludziach bezdomnych*. Magdalenka z *Lalki* zmienia się w jakąś Magdę z Powiśla, choć jest Marysią. W ustnej odpowiedzi kandydata na historię słyszymy, że *Ludzie bezdomni* to tacy ludzie w Paryżu, co mieszkają bez dachu nad głową, a chcą mieszkać w Luvrze, że doktor Piotr jest ziemianinem, który kupił sobie wille i robi karierę, co Żeromski potępia. Tak więc doktor Piotr pokręcił się z Bijakowskim, a zniknął problem wyzysku robotnika przez starego Cedzynę, natomiast problem ten podobno jest w *Lalce*.

Forma językowa prac może nieraz kwalifikować się do nieprzyjemnej rubryki „Przekroju”, *Humoru zeszytów szkolnych*; bo Orzeszkowa niedawno obchodziła 50-lecie swojej śmierci, bo ktoś naiwnie przerzuca na czasy Marty dzisiejsze stosunki: „Marta sprzedała meble i pokój”. Z pewnością od jakiegoś czasu polepszyła się pisownia, lecz dużo brakuje interpunkcji. Najbardziej chętna budowa zdań i dobór wyrazów, a więc styl! Ktoś łączy zdania w ten sposób: „Do nich należał B. Prus, u którego te hasła znalazły odbicie w jego utworach”, ktoś inny podwójnie łączy zdania „mimo że... ale”, plącąc związki podrzędne ze spółrzednymi nie tylko w teorii. Rozpycha się zdania nie n'e mówiącymi wyrażeniami: „Prus krytykuje warstwę wyższą, ich tryb życia, który jest jakby pasożytniczy”, gdy dość by było: Prus krytykuje pasożytniczy tryb życia warstw wyższych. „Książka ta swoim ukazaniem się wywołała duże zainteresowanie wśród czytelników” — skoro książka i zainteresowanie, to ukazanie się i czytelnicy są pleonazmem. Każdy typ wypowiedzi literackiej: opowiadanie, dialog, wyznanie liryczne nazywa się opisywaniem, czy poloniści nie biorą do ręki podręcznika poetyki? Bo z tym łączy się chaos w wiadomościach o gatunkach i rodzajach literackich, do liryki zalicza się *Pana Tadeusza*, do dramatów *Konrada Wallenroda*, o *Zemście* mówi się sztuka, a nie komedia, inne zaś pojęcia naukowe, pomimo popisania się na piśmie obcymi wyrazami, nie są wcale rozumiane. Wojna prewencyjna — to zaboreza, legitymizm myśli się z legitymacją, reprezentatywny zastępuje się przez reprezentacyjny. Gramatyczne błędy zdarzają się raczej ustnie: prościejszy, na wskutek, rozumie, w roku osiemset, a nawet „pozorować na arystokratę”, co by świadczyło, że polski pozór miesza się z zapożyczoną poza.

Inaczej może te rzeczy wyglądają ze stanowiska lingwisty, lecz badanie

**D**ZIWNĄ zależe sztuką jest fotografia. Wszystko wydaje się tak proste: nastawić, pokręcić, przytknąć — i już! Co już? Otrzymałeś zwykle, amatorskie zdjęcie, od którego do dzieła sztuki — fotogramu — droga jeszcze daleka.

Jednakowy obiektyw zachowuje się bardzo różnie, jak by przyjmował indywidualne cechy tego, kto nim manipuluje. Nawet lalkę rozpozna na wystawie zbiorowej, nie sprawdzając podpisów, prace wybitniejszych fotografików, ba — odnajdzie nawet jakieś rysy wspólne im wszystkim, rodzime, rysy, które pozwalają mówić i pisać o polskiej sztuce fotografii.

Niedawno czynna była w Warszawie doroczna wystawa członków Związku Polskich Artystów Fotografików. Z 563 prac, nadesłanych przez 154 autorów, jury Wystawy zakwalifikowało do ekspozycji 163 prace (w tym zaledwie 8 kolorowych! — to raczej niepokojący sygnał) 88 autorów.

Wystawa czynna była w salach warszawskiej „Zachęty”, przeznaczonych od lat na ekspozycje plastyków. Już ten sam fakt mówi wiele o pozycji, jaką sobie zdobyli w społeczeństwie nasi artyści-fotograficy.

O dużej ruchliwości tego stowarzyszenia twórców świadczy liczba z roku ubiegłego, kiedy zbiorowe wystawy fotografii polskiej zawędrowały do Grecji, do Wietnamu na Węgry, nie licząc paru wystaw indywidualnych. W Polsce natomiast pokazano zestawy prac fotografików greckich, włoskich, francuskich.

kandydatów wykazało, że nauka języka odbywa się zbyt werbalnie. Brak obserwacji przy nauce fonetyki, która jest przecież nauką empiryczną, tylko przy stosowaniu łatwych doświadczeń interesującą i kształcącą myślenie indukcyjne. W zakresie słowotwórstwa miesza się pojęcie rdzenia i pnia oraz cząstek morfologicznych i formantów, a więc rozwój słowotwórczy z morfologicznym. W składni nie odróżnia się związków współrzędnych i podrzędnych, miesza hierarchię zdań. Przykłady interpretuje się mylnie, podając za główne zdanie pierwsze, albo właśnie przyczynowe, warunkowe, przyzwalające, ponieważ myśli się kategorię materialnej zależności przedstawił w zdaniu faktów z formalną kategorią zależności logicznej. Trudność sprawia sformułowanie pytania o zdanie podrzędne ze stanowiska zdania nadrzędnego. Jeżeli ktoś, jak widzieliśmy, pisał: „mimo że... ..ale”, to znaczy, że pomieszał związek współrzędny z podrzędnym, kategorię zdań przeciwstawnych z kategorią przyzwolenia. Celem nauczania języka jest między innymi umiejętność nazwania, opisu, interpretacji faktów językowych, co powiedzie, gdy na pytanie o podstawy pisowni polskiej (etymologiczna, fonetyczna itd.) słyszy się: „słowniczek ortograficzny”?

Może to za wiele pretensji pytać o czasopisma językoznawcze czy literackie, o ich tytuły, miejsca wydania, redaktorów, lecz gorzej, gdy młodzież nie zna podręcznika gramatyki dla kl. XI. Tak więc dochodzimy do wykonania programu. Stosunkowo dobrze młodzież zna Mickiewicza i nawet podaje więcej tytułów lektur, niż obejmuje program *Pamiętajmy*, że jedyną czytana w szkole balladą jest *Roman tyżność*, a więc nie ma najpiękniejszej i najbardziej typowej ballady, *Lili*. Program jest wąski, ale żeby choć był wykonywany, żeby można było otrzymać odpowiedź na pytanie o Syrokomlę, Lenartowicza, Norwida, Berwińskiego. Żeby uwzględnić wartość artystyczną i *Pamiętników Paska*, i *Lauri* i *Filoni* Karpińskiego. Sprawdzono: wszczą wartość ma w opinii kandydata „O cześć wam, Panowie” niż *Marsz w przyszłość*. Jeżeli literatura w kraju między powstaniem ma stanowić krainę pustą, białą i otwartą, to nie dziwny się, że młodzież będzie jak straszni mieszczanie „Towim” (sic!) wiedzieć wszystko z osobna. Kiedy omawia romantyzm, nie omieszka powiedzieć o jego postępowości, o zainteresowaniu ludem, o krytyce szlachty, ale gdy zapytamy o pozytywizm, usłyszymy, że prąd ten w

przeciwieństwie do romantyzmu zajął się (też) ludem wiejskim.

Czy wobec niedostatków historii literatury wyczerpano chociaż i pogłębiono pisarzy współczesnych? O Broniewskim otrzymaliśmy nawet piękną pracę pisemną. Nie ubliżając nikomu, przypuszczam, że autor uciecwie zapamiętał treść swojego referatu wygłoszonego na wieczorku, fakt ten nie mówi o znajomości poety w szkole. Mówią fakty inne: gdy o Broniewskim, Tuwimie i Gałczyńskim jednym tchem się powiada — poeci rewolucyjni; gdy w relacji o Niemcach Kruczkowskiego i o *Medalionach* Nalkowskiej znika problem tępienia Żydów; gdy o Madzi z *Pamiętki* z *Celulozy* powiada się tylko tyle: „podobna mi się, bo pracuje dla partii i jest rewolucjonistką”, stare slogany i schematy.

Młodzież nie musi być zresztą obkuta, lecz chodzi nam o to, żeby była rozsądna, ciekawa, zdolna do obserwacji, analizy i samodzielnego rozumowania. Dla kandydatów na filologię polską trzeba jeszcze czegoś, pasji do czytania, zainteresowań kulturalnych, trochę myślenia historycznego, trochę dociekliwości, jak dzieło literackie jest zrobione, jak się mówi i mówilo, jak się na co dzień uczestniczy w rozwoju języka. To właśnie są te nasze coroczne nadzieje, nie da się zaprzeczyć, że pewna ilość kandydatów je spełniła. Podobalo mi się np. takie spostrzeżenie mimochodem w pracy pisemnej, że Andrzej Korczyński w *Nad Niemnem* to bohater romantyczny. Kto tak pisze, ten usiłował sam czy z pomocą swojego nauczyciela łączyć dwa okresy w jeden ciąg genetyczny. W innym wypadku jednak sprawdziłam, że stara Prezesowa uznana została za pozytywistkę, bo zajmuje się ludem. Zapomniano tylko, lecz na egzaminie udało się przypomnieć: że przed powstaniem listopadowym kochała się w seniorze Wokulskim, a więc była z innej epoki.

Nie krzaczmy, wciąż sądzę, że egzaminy nas przerażają, ponieważ się je przeprowadza. Fikcja konkursu się rozwiewa szczególnie w tym roku, ponieważ otrzymujemy roczniki bardzo przereżone: 1943—45, lecz pozostaje rozpoznanie stanu rzeczy, od którego trzeba wyjść w procesie kształcenia, żeby jak najmniej młodzieży odpadało w toku studiów, traciło lata, żebyśmy wiedzieli, czego mamy wymagać i w czym pomóc. Niewątpliwie czekaliśmy na lepiej przygotowaną młodzież i na przyszłość takiej oczekiwać mamy prawo.

Maria Grzędzińska

## Etiuda na temat Giocondy

Miewa oczy wykrojone z dna nocy,  
albo szafir... a może i piwne...  
Ma je, miewa miewała:  
pod światła dotknięciem kapryśne  
lub niemal widoczne północą,  
albo gdzie sine szczyty,  
kiedy zima zasnuwa i sypnie,  
i nawet ptaki nie sfruną;  
tak samo nad wodami z faldzistej  
[cyfrolii,  
która białe jezory próbuje:  
oblizują, mlaskając i sycząc.  
Ale jej oczy niesyte i tego,  
i nawet ujarzmione, znielena,  
[kaleczą.

Dlatego nieraz to tęskne westchnienie,  
wielka gotowość do nieba,  
I właśnie Leonardo,  
już nawet Leonardo...

Ale im wyżej i piękniej,  
że nawet ziemi za dużo do szczęścia,  
och, przecież wtedy sztyletem  
[młotem...  
razem z tym zwiewnym uśmiechem,  
z ręką na ręce spokojną  
(bo one mają swe życie  
i mogą być głuche i nieme).

Lecz co ją nasyci i zwiąże,  
gdy skarbcie na próżno otwarte?

Więc właśnie te oczy...  
Żeby śmiech w nich zaświecił  
[zwyczajnie...  
A może usta?...

## OSTATNIE WYSTAWY PRZEDWAKACYJNE RENATA NIEMIRSKA-PISAREK

W RZESZOWIE nie ma stałej sali wystawowej. Wprawdzie odbywa się przebudowa synagogi, mającej zostać przybytkiem sztuk pięknych, ale nie jest to chyba jeszcze sprawa dnia dzisiejszego. Mimo smutnego faktu nieposiadania stałej sali do wystaw, wystawy plastyczne odbywają się u nas permanentnie, znajdując locum minus lub więcej przystosowane do tego celu. Już w tradycję zaczynają wchodzić ekspozycje organizowane w foyer Teatru im. Wandy Siemaszkowej. Oglądaliśmy tu szokującą rzeszowską publiczność, bardzo interesującą wystawę krakowskiej grupy MARG, indywidualną wystawę art-



FOTO A. HADALA  
JADWIGA KARWACKA — „W RUDKACH SĘDZISZOWSKICH”

może ten uśmiech jak pyłek...  
Co złamie je w klęski podkowie,  
gdy lzy nigdy prawdy nie sięgną?

Tak, być za bardzo kobietą,  
to jakby za mało człowiekiem.  
A i rzeź przeznaceńca urwisko...  
I dokąd?...  
Do gorzkiej litości?

Bo cóż znaczą jej smutne zwycięstwa,  
kiedy ukraść ją trzeba, by zdobyć,  
żeby sytość zaspana przedświtu  
nieśla promyk, najprostszy  
[promytek.

Więc podkradali się skrycie do nieba,  
kiedy noc pila wodę za sadem,  
a i gwiazdy znużone drzemały  
i błdy kolejno na spanie.  
Wtedy ona w uśmiechu i cicha,  
jakby dawno już na to czekała...  
Ileż razy ją stamtąd ukradli,  
zanim w płótno wstąpiła i w wiersze.  
Bowiec była i przedtem, i potem,  
i teraz, i zawsze, i wszędzie,  
a obok krążące księżycy.

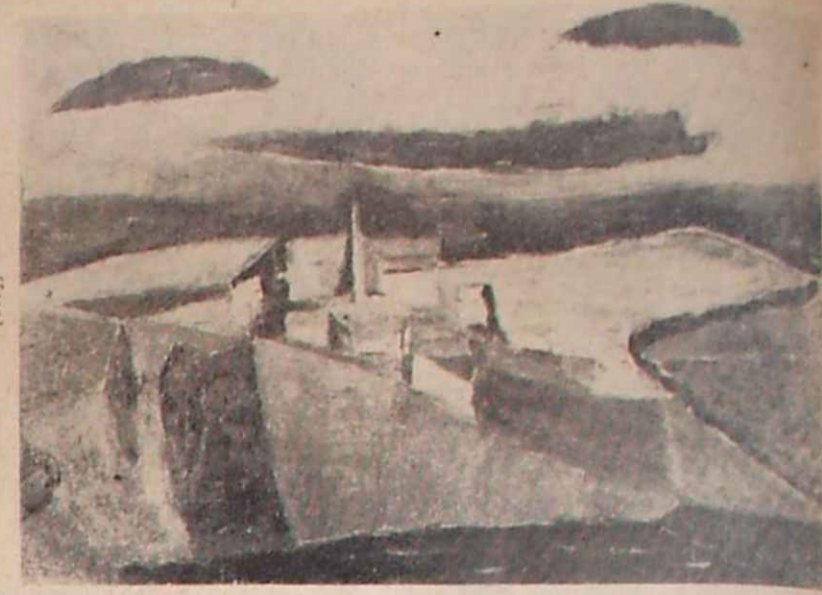
One ciągle w gonitwie za blaskiem  
od węgla do węgla tęsknoty,  
do następnej godziny olśnienia,  
do kolejnej otchłani zraty,  
żeby kraść, kraść lakomie jak wodę,  
kiedy usta pękają i lakną.

A gdy wilgoć gorączkę przetarła,  
znów jej nigdy i nigdzie nie było.

Więc uśmiech... znów uśmiech  
[maleńki,  
ten nikły, ulotny uśmiezek,  
i te ręce łagodnie złożone,  
a i w oczach miód ciemny, lipcowy,  
albo błękit, albo szafir suty...  
I znów nocą gotowe na wszystko,  
urzeczone, tragiczne księżycy...

Och, bo księżycy od jej blasku żyje.

TADEUSZ MARIAN TURKOWSKI — „MIASTO II” (obej)



na krakowskiej akademii ukończył dopiero po wojnie. Już jednak we wczesnych latach swej młodości zdradzała zainteresowanie malarstwem, będąc uczestniczką Ogniska Plastycznego Liceum Krzemienieckiego, gdzie wykładowcami byli znani dziś artyści-malarze, profesorowie Akademii Krakowa i Warszawy. Będąc nauczycielką od 19 roku życia wiele lat poświęciła pracy społecznej, przyczyniając się do Krzewienia oświaty i kultury na wsi. Obecnie artystka przebywa w Sędziszowie Mip., gdzie pracuje jako pedagog w Liceum Technik Plastycznych. Od roku 1951 brała udział w wystawach zbiorowych ZPAP w Lublinie, Sopotcie, Warszawie i Rzeszowie. Obecna wystawa jest pierwszym pokazem indywidualnym malarstwa. Wśród eksponowanych prac przeważa portret i pejzaż. Wydaje mi się, że autorka lepiej wypowiada się w pejzażu. Kilka prac z tego gatunku odznacza się interesującym układem kompozycyjnym oraz dążnością do syntetycznego ujęcia rzeczywistości. Posiadają one również klimat, który wydaje mi się najbardziej charakterystyczny dla osobowości autorki.

Druga z kolei wystawa, którą obejrzałam ostatnio, była wystawa grupy uczniów Ogniska Plastycznego. Ognisko Kultury Plastycznej przy Wojewódzkim Domu Kultury rozwija swą jakże pożyteczną działalność pod kierunkiem doświadczonych pedagogów plastyków: Jadwigi Dziedzieliwicz i Cezarego Kotowicza. Obecna wystawa jest wynikiem całorocznej pracy dziecięcej i młodzieżowego zespołu. Jest to ekspozycja w pełni udana, mądre i celowo pomyślane. Oczywiście, jak zwykle, najbardziej wznoszą prace dziecięce. Malarstwo dzieci urzeka świeżością, szczerością i prostotą, poezyją cudowną, nieczym nieskrepowanej wyobraźni. Nieomylna intuicja każe układać zaskakujące swą śmiałością płamy brw, z których wylania się obraz dziecięcych marzeń. Dzieci malują bezinteresownie, dla samej radości tworzenia. Ileż powagi i skupienia towarzyszy powstawaniu dziecięcych dzieł, ileż jest zdumiewającej prawdy w lapidarnym ukazywaniu świata dorosłych przez kilkuletnich malców.

Zespół dziecięcy prowadzi art.-mal. Jadwiga Dziedzieliwicz łącząc doświadczenie pedagoga z intuicją prawdziwie kobiecą, która pozwala jej podszeptać swym małym wychowankom o urodzie otaczającej codzienności, tak często nie dostrzeganej przez dorosłych.

Grupa młodzieżowa zaprezentowała prace różnorodne. Skrótowe i syntetyczne rysunki świadczą nie tylko o uzdolnieniu autorów, ale i o ich wiedzy i kulturze plastycznej. Prace malarskie budowane kolorem posiadają liczne zalety. Poszczególne autorzy stosują różnorodne gamy brwne, od subtelnych wyszukanych szarości aż po mocne, kontrastowe zestawienia.

stawa ta była wydarzeniem na skalę nie tylko tego kraju.

Fakt zapraszania fotografików polskich na wszystkie wystawy zagraniczne — to jeszcze jeden dowód szerokiego uznania, jakim się cieszą w świecie.

Szkoda, że mało natomiast wiemy o... samym Związku i jego członkach. Niżej podpisany ogromnie ceni przyszłościową niemal skromność naszych fotografików, unikających reklamy, nie lubiących informować ogółu o swych sukcesach i osiągnięciach. Ale niech wolno mu będzie uznać tę skromność za niewłaściwą! Zagraniczne sukcesy polskich fotografików dotyczą sztuki polskiej w ogóle i jako takie — interesują szeroki ogół w naszym kraju. To nie tylko kolega X lub Z zdobywa taką lub inną nagrodę — to jest sukces polskiej sztuki!

I dlatego wydało się nam pożytecznym podać tutaj kilka informacji dotyczących działalności ZPAP.

A TEN „ELITARYZM”  
Słyszy się niekiedy zarzut, że ZPAP jest „elitarny”, że „trudno się do niego dostać”. Istotnie — obok Związku Kompozytorów Polskich — jest to najmniej liczne stowarzyszenie twórcze w Polsce. Na 31 grudnia ub. r. liczyło ono 7 członków honorowych, 271 rzeczywistych. W roku 1961 ubiegło się o przyjęcie do ZPAP 18 osób, z których zaledwie 9 uzyskało dodatnią ocenę Komisji Artystycznej Związku i stało się jego członkami.

Tak więc — rzeczywicie ZPAP jest nieliczny. Rzeczywiście surowym egzaminom wstępnym poddaje kandydatów na członków.

A więc jednak — elitaryzm? Hm... Pamiętajmy, że hobby fotograficzne dotyka, w mniejszym lub większym stopniu, setek tysięcy ludzi w Polsce. Mimo wysokich cen na aparaty fotograficzne i sprzęt, mimo bardzo drogiego albo nader złych błon, mimo stałego braku na rynku pełnego asortymentu tych błon, papierów, chemikaliów itd. To dla tych setek tysięcy powołano Polskie Towarzystwo Fotograficzne. Więc niechże ZPAP pozostanie elitą — nieliczną grupą wybranych, najlepszych, prawdziwych artystów obiektywu!

Zresztą Związek nie zasklepia się, nie dusi we własnym sosie. Mówi o tym tak znaczna liczba wystaw. Mówi fakt wydawania przez Związek Almanachu (w ub. r. ukazały się też wersje rosyjska i niemiecka), rejestrującego najcenniejsze osiągnięcia twórcze członków ZPAP.

To bynajmniej nie wszystko. Już od lat prowadzi ZPAP akcję wystaw objazdowych, mającą na celu popularyzację sztuki fotograficznej, i to w małych ośrodkach terenowych. Takich wystaw bywa po kilkadziesiąt rocznie. Gdzie się otwierane? W domach kultury, w lokalach przy dużych zakładach pracy, w siedzibach organizacji społecznych.

Członkowie Związku w całym kraju podejmują pracę instruktorską we wszelkiego rodzaju ośrodkach fotografii amatorskiej — dla robotników, młodzieży, uczniów itd. Biorą udział w jury wszelkich konkursów fotograficznych, tak licznych w Polsce. Organizowane też są prelekcje, pokazy, wieczory autorskie wybitnych fotografików, publiczne dyskusje na wystawach urządzanych przez Związek oraz projekcje wystaw wszędzie tam, gdzie warunki lokalowe oraz nadmierne koszty nie pozwalają na otwarcie wystawy „prawdziwej”.

Zarząd Związku współdziała też z Federacją Stowarzyszeń Fotograficznych w zakresie szkolnictwa fotograficznego.

Jerzy Kuryluk

## O mistrzach obiektywu — obiektywnie

(Dokończenie ze str. 7)  
roku odbędzie się ogółem w Polsce ok. 25 dużych wystaw zagranicznych. Tutaj uwaga ogólniejszej natury: chociaż ZPAP istnieje już od 1947 r. to jednak wymiana zagraniczna ruszyła tak naprawdę przed pięćmi laty. W tym czasie odbyło się za granicą ok. 30 zbiorowych wystaw polskiej fotografii. Ciekawostka: zaplanowana jest przez ZPAP wielka wystawa we Wrocławiu pn. „30 lat izohelli” (ta trudna technika jest wynalazkiem polskim!). Gdy dwa lata temu 55 fotografów polskich zaprezentowało wyłącznie dorobek polskiej izohelli w dalekim Chile — wy-





## Nie rozmiary obrazu...

**I**STOTNIE — nie zawsze rozmiary obrazu decydują o wartości dzieła sztuki. Małe płótno mistrza wychodzi zwycięsko z porównania z malarskim Goliatem — dziełkami metrów kwadratowych, pokrytych farbami.

Nieraz dzieje się podobnie i w sztuce filmowej. A szczególnie jest to widoczne u nas, gdzie ogólny poziom filmów dokumentalnych góruje wyraźnie nad poziomem filmów fabularnych. Choć i te ostatnie są dziełami bynajmniej nie „pacykarzy”, lecz utalentowanych, znających świetnie swój warsztat artystyczny, twórców.

Niżej podpisany mógł się o powyższym przekonać, gdy z okazji pobytu w Polsce czteroosobowej grupy filmowców radzieckich oglądał zestaw filmów — dawniejszych, nowszych i najnowszych — produkcji Wytwórni Filmów Dokumentalnych w Warszawie. O ich wartościach decyduje w równej mierze ostra nuta aktualnej bojowej, zaangażowanej publicystyki i dobre, a nieraz świetne, rzemiosło reżyzersko-operatorskie.

W porównaniu z nimi przypomniałem nam w tych samych dniach nowe filmy fabularne wyraźnie tracący. Owszem — i tam na wysoki niekiedy poziom wlatywałą inwencja realizatorów. I tam strona zdjęciowa wywoływała głośne okrzyki zachwyty z ust radzieckiego reżysera. Dodatkowym atutem była też gra aktorów — bezsporna zaleta każdego prawie polskiego filmu fabularnego. Skąd więc uczucie niedosytu, zawodu?

Tematyka polskich filmów fabularnych jakże często oddala się od naszego współczesnego życia! Te przebrzmiałe historie okupacyjnych zaduszek; te kameralne gierki psychologiczne nad wodą, w wodzie i pod wodą; ci przechodnie opóźnieni na drogach rozwoju polskiego filmu...

Wadą wielu z nich jest to, że owe wymyślne i wymyślone sytuacje i wydarzenia mogłyby się dziać zawsze i wszędzie. Wadą niektórych jest także, iż filmu nie można w ogóle zrozumieć bez posiadania specjalnego „klucza”: trzeba np. doskonale się orientować w stosunkach naszego świata literacko-artystycznego, aby rozszyfrować, dlaczego „ta” z „tym” itp., itd. A film, podobno, jest sztuką najbardziej masową...

Inaczej jest w filmach dokumentalnych. W życiu naszym tkwią one mocno, co więcej — ich twórcy mają ambicję wpływania na kształtowanie tego życia. I — jak się zdaje — ze skutkiem.

### BYKI I DEWIZY

Co ciekawsze — polski film dokumentalny, bijący ostatnio poziomem artystycznym i swych braci z tej samej rodziny „Krótkometrażowskich”, do której należą jeszcze filmy oświatowe i animowane, mimo tak wyraźnego powiązania z polskim życiem współczesnym (a może raczej — właśnie dlatego?) — zyskał sobie nie od wczoraj świetną markę za granicą. Dowody? Jego eksport, no i długa lista otrzymanych na zagranicznych festiwalach nagród.

Przyjrzyjmy się tablicy eksportu polskich filmów krótkometrażowych. W 1951 r. sprzedano za granicę 40 tytułów, w 1954 r. — 54, w 1958 r. — 100, w 1959 r. — 115, aby w 1961 r. dojść do 156 tytułów! (Ciekawe, że rośnie wydatnie eksport do krajów kapitalistycznych).

W ub. r. eksportowaliśmy filmy krótkometrażowe do 8 krajów socjalistycznych i do 18 kapitalistycznych. Polskie filmy krótkometrażowe ukazują się obecnie na ekranach telewizyjnych krajów socjalistycznych oraz w programach telewizji angielskiej, austriackiej, belgijskiej, duńskiej, francuskiej, fińskiej, holenderskiej, kanadyjskiej, luksemburskiej, NRF, szwajcarskiej, szwedzkiej, USA.

Począwszy od 1958 r., rozpoczęły się częste wizyty zagranicznych kontrahentów, którzy osobiście, w naszych salach projekcyjnych, dokonują przeglądu i zakupu polskich krótkometrażówek, zarówno dla szerokiego rozpowszechnienia, jak i dla telewizji swych krajów. Wojaże te nastąpiły bez wątpienia w wyniku opinii, jaką polskie krótkometrażówki zdobyły so-

(Dokończenie na str. 12)

**W**IELE osób spośród Państwa już o nim słyszało, wiele już się z nim osobliście zetknęło. Jeżeli historię ludzkości można dzielić na etapy rozwoju intelektualnego, to jest on dziełem ostatniego. Pojawił się wraz z rozwojem metod współczesnej socjologii. Mowa tu o ankiecie, Charalder jego pracy nierozzerwalnie związany jest ze specyfiką badań socjologicznych. Badania te mogą iść w dwa kierunki. Są to:

1) Badania faktów społecznych — które są podstawą do opisu poszczególnych klas tych zjawisk. I tu między innymi bardzo pomocnym może okazać się ankieta jako dostarciciel wiarygodnych informacji o badanych faktach społecznych. Celem badań socjologicznych jest naukowe poznanie rzeczywistości społecznej. Aby było ono jak najdoskonalwsze, musi być dokonywane przy pomocy odpowiednich metod właściwych tej dyscyplinie naukowej. W związku z tym potrzebne są:

2) badania nad metodami stosowanymi w socjologii. Ankieta wystąpi tu może jako dostarciciel źródłowego materiału służącego do dalszego doskonalenia metod tej nauki. W praktyce najczęściej oba typy badań, a więc i oba typy pracy ankietera, występują łącznie.

Znalezienie czy też wyszkolenie ankietera, który by reprezentował szeroki wachlarz walorów i zalet koniecznych przy tego rodzaju badaniach, jest rzeczą niezwykle skomplikowaną. Stała się ona już przedmiotem rozległych dociekań i rozważań. W świetle zadań stawianych ankieterowi jest to całkowicie zrozumiałe. Zacząć należy od tego, że ankieter musi nabrać wewnętrznego przekonania do celu i intencji badań. Bo przecież od jego stosunku do badań zależy ich powodzenie i praca olbrzymich niekiedy zespołów ludzi. Gdy ankieter idzie na spotkanie z badanym, musi umieć oderwać się od swych spraw, musi po prostu zapomnieć o sobie, a wszystkie wysiłki poświęcić przygotowaniu się do rozmowy. Stając przed jakimiś drzwiami nigdy nie wie, co się za nimi kryje —

## JĄ W SPRAWIE „POLITYKI”

SYLWESTER MIERNIK

z jakim spotka się tam ustosunkowaniem do siebie i do badań. Po paru minutach rozmowy z badanym winien już ankieter wyczuć, jak ma się zachować, co mówić, jak kształtować powstającą sytuację, aby rozmowa zakończyła się pożądanym rezultatem. Organizatorom wszelkiego typu badań z zasady chodzi o tzw. swobodną wypowiedź badanego. Ankieter w każdym indywidualnym przypadku rozmowy z badanym winien go tak przekonywać, by bez oporów czy uprzedzeń udzielił odpowiedzi. Zadaniem ankietera jest wytworzyć jak najbardziej sprzyjającą atmosferę, w której badany będzie mógł wypowiadać się z całą swobodą. Organizatorzy badań zdają się w całości na poczucie odpowiedzialności ankietera, na jego obowiązkowość, sumienność, inteligencję i cały szereg innych zalet. Ale bywają również sytuacje, kiedy ankieter nie może wpłynąć na bieg wypadków w ten sposób, aby osiągnąć zamierzony cel. Takie wypadki winien ankieter sygnalizować i zabiegać o ich wyłączenie z opracowania, gdyż zniekształcają one rezultaty badań. I chyba w tych zarysowanych powyżej kwestiach najczęściej dochodzi do nieporozumień między organizatorami badań a ankieterami.

**P**ÓJDŹMY teraz wraz z ankieterem na teren miasta Lublina i przyjrzyjmy się jak wygląda jego praca. Jest on przygotowany na znęcierpliwienie ludzi odrywanych przez niego od ich ważnych spraw. Liczy się z ewentualnością, że ktoś przesygnie o kilka minut rozmowy może odmówić. Na szczęście tego rodzaju przypadki w Lublinie należą do rzadkości. Natomiast różnorodność sytuacji, w których musi pracować ankieter, bywa olbrzymią.

Stajemy u drzwi wielce szanownej instytucji o dużym zasięgu społecznym oddziaływania. Ankieter kilkakrotnie prosi o wypełnienie ankiety czytelniczki. Podkreśla ważność badań, wykazuje wpływ badanych na oblicza pisma, którego ankieta dotyczy. Okazuje się, że przy pomocy powyższych argumentów nie można skłonić badanego do udzielenia odpowiedzi. Wówczas ankieter sięga po motywację innego rodzaju: instytucja, której jest reprezentantem, winna w pierwszej kolejności odpowiedzieć na ankiety, gdyż i w jej interesie leży to, aby pismo, którego ankieta dotyczy, stało na jak najwyższym poziomie. Badany nie może odmówić racji powyższym słowom i rad nie rad wypełnia ankietę. Powyższy przykład ilustruje jeden z wielu sposobów wymuszania odpowiedzi. Oczywiście ważny jest rodzaj argumentacji. Ankieter w żaden dostępny sposób nie może skłonić badanego do udzielenia odpowiedzi, wreszcie powiada: — Gdyby pan wypełnił tę ankietę, to zarobiłbym dwadzieścia złotych. Argument okazał się zbawiający. Nie dość, że badany wypełnił ankietę, ale jeszcze zaagitował swych kolegów.

Instytucja wojskowa. Ankieter rozmawia z lekarzem kompetentnym w sprawie wypełnienia ankiety. Rozmowa odmawia ze względu na obowiązującą go tajemnicę państwową. Ale od czegoś pomysłowość ludzka. Proszę pana — powiada — przecież ja jestem pracownikiem kilku innych instytucji (tu podaje adresy) i mogę wypełnić tę ankietę jako pracownik jednej z nich.

Nie brak też zdarzeń całkiem humorystycznych. Prywatne mieszkanie. Dzwonek. — Proszę, pan w sprawie? — Aha? Badań socjologicznych. Proszę

(Dokończenie na str. 12)

## R N O A Z M O W A W I E



EDWARD NADULSKI — „PARTYZANCI”

**OPTYMISTA:** Każde malarstwo jest dobre jeśli „w swoim rodzaju” jest dobre.

**KRYTYKOMAN:** Są upodobania i antypatie nie do przewyciężenia.

**OPTYMISTA:** Trzeba jednak zdobyć się na obiektywny sąd.

**KRYTYKOMAN:** Nie zmienisz człowieka.

**OPTYMISTA:** Człowiek musi się zmieniwać na lepsze.

**KRYTYKOMAN:** Pływaj dalej. Co widzisz tu dobrego „w swoim rodzaju”?

**OPTYMISTA:** Kononowicza „Ghetto”. Przejście umęczonych w zaświaty, gdzie panuje wieczna harmonia.

**KRYTYKOMAN:** Za wzniosłość to dla mnie.

**OPTYMISTA:** Kononowicz darzy ludzi pięknem... Cudowne kolory...

**KRYTYKOMAN:** Nie ma cudów w malarstwie.

**OPTYMISTA:** To wielki problem. Przejdźmy do konkretnego. Patrz — Na dulskiego „Partyzanci z Lasów Janowskich”.

**KRYTYKOMAN:** Bo ja wiem, ten czarny sztafaż...

**OPTYMISTA:** Sztafaż! Czy byłeś w partyzantce?

**KRYTYKOMAN:** Nie.

**OPTYMISTA:** Więc dobrze robisz uchylając się od odpowiedzi. W tym obrazie jest odczucie tej dla uczestników niezapomnianej atmosfery, po-

danej w wielkim skrócie. Ludzie wsłuchani w szmery lasu i dalekie odgłosy suną cicho, sznurem, jak stworzenia przystosowane do ciągłych niebezpieczeństw. Wokół ściana lasu i błoto...

**KRYTYKOMAN:** Co jeszcze?

**OPTYMISTA:** Byliny „Wrzesień”. Duża kultura. Obraz na piątkę. Liberskiego „Oczekiwanie”. Siła wyrazu. Dobre malarstwo.

**KRYTYKOMAN:** Pod Buffeta.

**OPTYMISTA:** Co innego naśladować kogoś? Liberski nie naśladowuje.

**KRYTYKOMAN:** Gadaj dalej, bo z gwałtowności powstałaś.

**OPTYMISTA:** Filipiaka „Pacyfikacja”.

Dobre malarstwo i obraz coś mówi.

**KRYTYKOMAN:** Dalej?

**OPTYMISTA:** Krawczyka „Fornalska”.

**KRYTYKOMAN:** To grafika.

**OPTYMISTA:** Brak kolorów nie degraduje.

**KRYTYKOMAN:** Na to zgoda.

**OPTYMISTA:** Poza tym Kędzi „Dlaczego?” Artysta przemawia nie tylko tematem. Lubię tak skomponowane obrazy. Nie ma tłoku. Jest dobra proporcja tła i postaci.

Podoba mi się też nitroxylografia Podciechowskiego...

**KRYTYKOMAN:** Płyn dalej.

**OPTYMISTA:** Okęjnickiego „Portret generała” zatrzymuje oko widza. Da-

leki jest od banału. To malarz, który wciąż robi postępy. Robota pali mu się w rękach... Szkic tuszem „C.K.M-y” Abramowicza jest tak pełny i mocny, że może uchodzić za skończony obraz.

**KRYTYKOMAN:** Aha, witamy starego znajomego — Zyngiela.

**OPTYMISTA:** Jest on urzeczony Majdankiem... Ale czekaj, zaraz pokażę ci jeszcze kilka dobrych rzeczy...

**KRYTYKOMAN:** Przepraszam cię, ale bardzo się śpieszę...

**OPTYMISTA:** Zbladłeś! Co ci jest.

**KRYTYKOMAN:** Tłok... Wszędzie ludzie — i na sali, i na ścianach...

Dusząno mi, odwykłem od tego widoku. Literatura przytłacza na tej wystawie.

**OPTYMISTA:** Cóż że literatura, skoro dobra. Literatura jak malarstwo

zawsze opierała się na studiach człowieka. To więc, która łącząca te

dwie sztuki. Przetrwala wieki i trwać będzie wieki.

**KRYTYKOMAN:** Płyn dalej, pływaku!

**OPTYMISTA:** Uchodzę za pływaka, a przyznam ci się w sekrecie, że pływać nie umiem.

**KRYTYKOMAN:** Za to ja urodziłem się krytykiem. Nie mogę spojrzeć nikomu wprost w oczy, bo mam ogromnego zeza.

Włodzimierz Chelmiński



